

# Wybrane problemy życia codziennego Polaków na podstawie listów opublikowanych na łamach „Przyjaciółki” w latach 1956–1970

Tematyka związana z życiem codziennym obywateli Polski Ludowej pojawiała się już w wielu publikacjach. Okres PRL jednak to czas niezwykle i jego badanie daje historykowi duże pole do działania. Niniejszy artykuł dotyczy problemów życia codziennego społeczeństwa polskiego, które można wyczytać z listów wydrukowanych na łamach „Przyjaciółki” w okresie rządów Władysława Gomułki. Wprawdzie powstała na zbliżony temat interesująca praca Małgorzaty Mroczkowskiej, lecz autorka ograniczyła się – chciałoby się dodać: niestety – jedynie do przedstawienia okresu gierkowskiego<sup>1</sup>. Temat jest niezwykle ciekawy, a w dzisiejszym, szybko zmieniającym się świecie, pamięć o tamtych – przecież nie tak odległych czasach – szybko się zaciera. Mało który młody człowiek, nieinteresujący się bliżej historią, kojarzy, czym były kartki żywnościowe, kolejki w sklepach, walki ze stonką ziemniaczaną czy też zielone budki z piwem. Dzisiaj trudno nawet wyobrazić sobie rozmaite sytuacje opisywane przez czytelników „Przyjaciółki”.

Dlaczego wybór autora padł właśnie na to czasopismo? „Przyjaciółka” jest najstarszą gazetą kobiecą wydawaną nieprzerwanie od 1948 r. do dnia dzisiejszego. W tym przypadku – powtarzając za Małgorzatą Mroczkowską – można mówić nawet o prawdziwym fenomenie, gdyż „Przyjaciółka” jako jedyne pismo kolorowe w PRL rozchodziła się bez zwrotów<sup>2</sup>. Przez wiele lat była powiernicą sekretów wielu polskich kobiet, służąc radą i pomocą w przezwyciężaniu dylematów szarej peerelowskiej rzeczywistości. Archiwum korespondencji nadsyłanej do redakcji gazety byłoby dla historyków wspaniałym materiałem do rozważań, jednakże niestety „w majestacie prawa zostało przemielone jako makulatura”<sup>3</sup>. Zbiór ten musiał być imponujący, gdyż codziennie redakcja tygodnika była zasypywana setkami listów. Szacuje się, że rocznie nadsyłano ich ok. 130 tys.

<sup>1</sup> M. Mroczkowska, *Listy do „Przyjaciółki”. Codzienne życie Polaków dekady gierkowskiej w listach czytelników*, Warszawa 2004.

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 10.

<sup>3</sup> M. Kula, *Coś trzeba czasem zmienić nawet w archiwach*, referat wygłoszony na 17 Zjeździe Historyków Polskich w Krakowie, 15–18 września 2004.

Z wiadomych względów tylko znikoma ich część była publikowana na łamach gazety. Nakład, w jakim rozchodziła się „Przyjaciółka”, sięgał w omawianym okresie prawie 2 milionów egzemplarzy, choć największy przypadł na rok 1985<sup>4</sup>.

W niniejszym artykule badaniom poddano 2360 listów, które ukazały się w tym czasopiśmie w latach 1956–1970. Na ich podstawie wytypowano najbardziej palące problemy życia codziennego, którymi były: sprawy mieszkań, służba zdrowia, kłopoty w pracy, nadużywanie alkoholu i tzw. buble. Z analizy zgromadzonego materiału źródłowego wynika, że właśnie tych pięć zagadnień najczęściej opisywano w listach. Stanowiły one 74 proc. wszystkich problemów poruszanych przez czytelników. Pokusa, aby rozszerzyć badania na inne – opisywane przez nadawców – niezwykle interesujące kwestie życia codziennego, była ogromna. Niemniej świadomość pewnych ograniczeń, które niesie ze sobą forma artykułu, wymogła konieczność przeanalizowania tylko tych najczęściej występujących.

Sam materiał źródłowy, czyli list, ma swoją specyfikę. Krytykowany za subiektywny charakter, bywał niedoceniany czy też wręcz deprecjonowany w środowisku wielu historyków. Coraz częściej jednak jest on wykorzystywany jako cenne źródło do analizy życia codziennego w Polsce Ludowej<sup>5</sup>. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że w artykule niniejszym pominięto problem wiarygodności i oceny szczerości drukowanych na łamach „Przyjaciółki” listów, co nie znaczy, że przy ich wyborze nie zachowano ostrożności. Wszelkie publikacje – o czym trzeba pamiętać – były w czasach komunistycznych starannie kontrolowane, a prawdziwe opinie nie mogły być wyrażane w otwarty sposób. Prawdopodobieństwo manipulowania listami przez redakcję „Przyjaciółki”, a nawet ich preparowania było bardzo duże i zapewne niejednokrotnie miało to miejsce. Nie zmienia to jednak faktu, że – przy świadomości występowania takich działań – zbliżamy się do rzeczywistego opisu tamtych czasów.

Podobnie, jak to miało miejsce w przypadku listu jako źródła, również kierunek badań, czyli tzw. mikrohistoria, przez wiele lat był niedoceniany. Badacze „starej szkoły” w większości uważali, że należy zajmować się jedynie wielkimi wydarzeniami historycznymi. Aż do XX w. życie codzienne zwykłych ludzi było pomijane i traktowane marginalnie. Rozwój badań nad tą częścią historii stał się możliwy dopiero dzięki uczonym wywodzącym się ze szkoły Annales<sup>6</sup>. W Polsce przez długi czas nie prowadzono analiz w zakresie mikrohistorii. Wynikało to

<sup>4</sup> Nakład tygodnika wynosił wówczas 2134,5 tys. egz. – zob. S. Dziki, *Uwarunkowania instytucjonalno-organizacyjne funkcjonowania prasy*, „Zeszyty Prasoznawcze” 1991, nr 1–2, s. 64.

<sup>5</sup> Oprócz wspomnianej już pracy Małgorzaty Mroczkowskiej list jako materiał źródłowy został wykorzystany do badania życia codziennego w okresie PRL w następujących pracach: D. Jarosz, *Listy do centralnych instytucji państwa stalinowskiego jako źródło do badań życia codziennego w Polsce*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 1996, nr 3, 297–302; A. Leszczyński, *Sprawy do załatwienia. Listy do „Po Prostu” 1955–1957*, Warszawa 2000; *Księga listów PRL-u*, część 1: 1951–1956, red. G. Sołtysiak, Warszawa 2004, *Księga listów PRL-u*, część 2: 1956–1970, red. G. Sołtysiak, Warszawa 2005, *Księga listów PRL-u*, część 3: 1971–1990, red. G. Sołtysiak, Warszawa 2005.

<sup>6</sup> Prace z zakresu mikrohistorii: E. Le Royladurie, *Montaillou – wioska heretyków*, Warszawa 1988; C. Ginzburg, *Ser i robaki: wizja świata pewnego młynarza z XVI w.*, Warszawa 1989; R. Darnton, *Wielka rzeź kotów*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” 2002, nr 3–4, s. 83–97; N. Zemon Davis, *Powrót Martina Guerre’a*, Poznań 2011.

m.in. z polityki państwa komunistycznego, które nie było zainteresowane tego typu badaniami (umniejszanie roli badań socjologicznych). Dopiero książka Tomasza Szaroty pt. *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, wydana na początku lat siedemdziesiątych, poruszyła pierwszą kwestię życia codziennego w Polsce<sup>7</sup>. Najprawdopodobniej to pod jej wpływem powstał w niedługim czasie doktorat Czesława Bakunowicza, którego niewielki fragment ukazał się w „Dziejach Najnowszych”<sup>8</sup>.

Zagadnieniem codzienności w PRL – zwłaszcza ostatnimi czasy – zajmowało się wielu autorów, nie tylko historyków. Pierwsi uczynili to Marek Ordyłowski oraz Ewelina Szpak<sup>9</sup>. Kwestię życia prywatnego Polaków w tamtym okresie poruszyli także m.in. Krzysztof Kosiński, Ryszard Tomkiewicz, Barbara Klich-Kluczevska, Błażej Brzostek czy też Izabela Jarosińska<sup>10</sup>. Nieco inną problematykę, ale przecież mocno związaną z codziennością ówczesnych Polaków, obejmuje praca pt. *Umowa o kartki*<sup>11</sup>. Ciekawym uzupełnieniem tej literatury są również wspomnienia poszczególnych osób, którym przyszło żyć w tamtych czasach. Pracami takimi są np. książki Leszka Dzięgiela czy Aleksandra Wieczorkowskiego<sup>12</sup>. O tamtych dziwnych czasach pisał także Wojciech Duda-Dudkiewicz w swej znakomitej książce *Kultowy PeeRel: z życia wzięte*<sup>13</sup>. Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć również o pracach Dariusza Jarosza, Mariusza Jastrzębia czy Marka Wierzbickiego oraz innych autorów, przybliżających czytelnikom tak ciekawe różnorodne aspekty peerelowskiej codzienności<sup>14</sup>.

<sup>7</sup> T. Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, Warszawa 1973.

<sup>8</sup> C. Bakunowicz, *Ogłoszenia drobne „Nowego Kuriera Warszawskiego” i „7 Dni” jako przejaw życia codziennego okupowanej Warszawy (1 VI I 1943 – 31 VII 1944)*, „Dzieje Najnowsze” 1980, R. XII, nr 3, s. 47–78.

<sup>9</sup> M. Ordyłowski, *Życie codzienne we Wrocławiu 1945–1948*, Wrocław 1990; E. Szpak, *Między osiedlem a zagrodą. Życie codzienne mieszkańców PGR-ów*, Warszawa 1990.

<sup>10</sup> K. Kosiński, *O nową mentalność. Życie codzienne w szkołach 1945–1956*, Warszawa 2000; R. Tomkiewicz, *Życie codzienne mieszkańców powojennego Olsztyna 1945–1956 r.*, Olsztyn 2003; B. Klich-Kluczevska, *Przez dziurkę od klucza. Życie prywatne w Krakowie (1945–1989)*, Warszawa 2005; B. Brzostek, *Za progiem: codzienność w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955–1970*, Warszawa 2007; I. Jarosińska, *Było i tak: życie codzienne w Polsce w latach 1945–1989*, Warszawa 2009.

<sup>11</sup> *Umowa o kartki*, red. J. Kurczewski, Warszawa 2004.

<sup>12</sup> L. Dzięgiel, *Swoboda na smyczy: wspomnienia, 1945–1956*, Kraków 1996; A. Wieczorkowski, *Mój PRL*, Warszawa 2005.

<sup>13</sup> W. Duda-Dudkiewicz, *Kultowy PeeRel: z życia wzięte*, Warszawa 2004.

<sup>14</sup> *Kobieta i kultura życia codziennego: wiek XIX i XX. Zbiór studiów*, t. 5, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Warszawa 1997; *Kobieta i kultura czasu wolnego. Zbiór studiów*, t. 7, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Warszawa 2001; M. Jastrzęb, *Puste półki. Problem zaopatrzenia ludności w artykuły powszechnego użytku w Polsce w latach 1949–1956*, Warszawa 2004; D. Jarosz, M. Pasztor, *Afera mięsna. Fakty i konteksty*, Toruń 2004; D. Jarosz, *Peerelowskie drogi do mieszkania w latach siedemdziesiątych XX wieku (zarys problemu)* [w:] *Życie codzienne w PRL (1956–1989)*, red. G. Miernik, S. Piątkowski, Radom–Starachowice 2006, s. 169–198; K. Kosiński, *Historia pijaństwa w czasach PRL. „Peerelowskie” wzory picia alkoholu*, „Polska 1944/45–1989. Studia i materiały” 2006, t. 7, s. 267–305; *idem*, *Oficjalne i prywatne życie młodzieży w czasach PRL*, Warszawa 2006; *Socjalizm w życiu powszednim: dyktatura a społeczeństwo w NRD i PRL*, red. S. Kott, M. Kula, T. Lindenberger, Warszawa 2006; M. Wierzbicki, *Związek Młodzieży Polskiej i jego członkowie*, Warszawa 2006; *idem*, *Młodzież w PRL*, Warszawa 2009.

Należy także podkreślić, że wbrew pozorom niełatwo jest pisać o życiu codziennym w PRL. Okres rządów Władysława Gomułki, o którym traktuje niniejszy artykuł, najlepiej pamiętają nasi dziadkowie i rodzice. Trzeba pamiętać o tym, że to, co dziś może się nam wydawać śmieszne czy wręcz absurdalne, składało się na ich powszednią rzeczywistość. Jednak o ile dziadkowie, którym udało się przetrwać zawieruchę wojenną, zdołali w pewnym stopniu przyzwyczaić się do „spartańskich” warunków i specyficznego stylu życia oraz w pewnym stopniu „oswoić” z zaistniałą sytuacją, o tyle naszym rodzicom przyszło rodzić się, dorastać i zakładać własne rodziny w trudnym okresie PRL. To głównie oni musieli zmagać się z permanentnym brakiem artykułów spożywczych, niedostatkiem mieszkań oraz niesolidnymi i partackimi fachowcami.

Gdy w 1956 r. i sekretarzem KC PZPR został Gomułka, oczekiwano z nadzieją wielu zmian w kraju. Mimo to życie codzienne przeciętnych Polaków pozostawało takie samo. Wprawdzie wprowadzono kilka nowych ustaw, które w założeniu miały ułatwić życie przeciętnemu Kowalskiemu, ale w rzeczywistości były to rozporządzenia martwe, które obowiązywały jedynie na papierze (tak było np. w przypadku ustawy o prawie lokalowym czy też rozporządzenia o sprzedaży alkoholu). Peerełowska rzeczywistość nadal rysowała się w smutnych, szarych barwach. Polacy permanentnie narzekali na brak mieszkań bądź fatalne warunki w nich panujące, na „kulejącą” służbę zdrowia, puste sklepy i wybrakowane towary. W zasadzie, patrząc na sytuację w kraju oczami ówczesnego przeciętnego obywatela, mieszkańca, pacjenta i konsumenta, warunki w czasach Gomułki nie odbiegały zbytnio od tych panujących w okresie rządów Bolesława Bieruta. Życie codzienne w komunistycznej, gomułkowskiej Polsce, w okresie „małej stabilizacji” wciąż pełne było niepokojów oraz udręki, a listy nadsyłane do „Przyjaciółki” stanowią niewielki, czasem dziś zabawny, ale niekiedy wręcz przerażający wycinek ówczesnej niełatwej rzeczywistości.

## Wolność Tomku...

Własne mieszkanie w całym okresie PRL było prawdziwym luksusem i najwyższym dobrem, a „sprawa mieszkaniowa” pojawiała się na łamach tygodnika częstokroć. Listy, w których czytelnicy skarżyli się na brak mieszkań bądź na warunki w nich panujące, stanowiły 14,5 proc. wszystkich objętych badaniem. Wraz z objęciem władzy przez ekipę Gomułki zapowiedziano zmianę w polityce mieszkaniowej, a niezbędne ku temu podstawy prawne ukształtowały się już w 1958 r.<sup>15</sup> Jednakże mimo szumnie nagłaśnianych przez władze ustaw mieszkaniowych, które zamierzano wprowadzić w życie, sytuacja lokalowa Polaków w omawianym okresie była katastrofalna: „W następnym pięcioleciu zbudujemy w miastach 2200 tysięcy izb mieszkalnych. Będzie to prawie o jedną trzecią więcej niż w minionym pięcioleciu. Podstawą budownictwa mieszkaniowego stać się ma spółdzielczość mieszkaniowa, która wybuduje 67 proc. wszystkich zaplanowanych

<sup>15</sup> Szerzej to zagadnienie przedstawia K. Madej, *Spółdzielczość mieszkaniowa. Władze PRL wobec niezależnej inicjatywy społecznej (1961–1965)*, Warszawa 2003, s. 19.

na przyszłe pięciolecie izb”<sup>16</sup>. Słowami tymi, które w rzeczywistości były typową manipulacją, gdyż obiecywano zbudowanie wielu izb, a nie mieszkań, co czyniło znaczną różnicę, jeszcze w 1965 r. redakcja „Przyjaciółki” pocieszała tysiące czytelników, którzy przysyłali na jej adres listy, żaląc się albo na brak mieszkań, albo na przedłużające się remonty. Lecz już wkrótce miało się okazać, że nawet tych przyrzeczeń nie spełniono, a budowanie blokowisk z wielkiej płyty na dłuższą metę nie przyniosło rozwiązania palących problemów mieszkaniowych.

Korzystano z kilku sposobów na zdobycie „własnego M”, co nie oznaczało jednak, że było to zadanie łatwe, zwłaszcza dla przeciętnego Kowalskiego. Przede wszystkim należało zapisać się do spółdzielni mieszkaniowej, co w rzeczywistości oznaczało wieloletnie oczekiwanie na przydział. Innym sposobem, również długotrwałym, były książeczki mieszkaniowe, zakładane głównie przez młodych ludzi. W sytuacji, w której na własne lokum czekało się nawet kilkadziesiąt lat, książeczki takie zakładano na ogół małym dzieciom. Kolejne „udogodnienia” wprowadzane przez nową ekipę w postaci ograniczania powierzchni domów do 110 m<sup>2</sup> czy wprowadzenia kredytów dla budujących domy jednorodzinne nie zaspokajały pilnych potrzeb. Na przydział „własnego M” Polacy wciąż czekali latami. Ich sprawy wlokły się niemiłosiernie z kilku powodów. Najpopularniejszymi z nich były: brak wystarczającej liczby mieszkań, konieczność wręczenia łapówki lub nadmierna biurokracja. W związku z tym czytelnicy często zwracali się o pomoc do redakcji „Przyjaciółki” i – co warto podkreślić – niektóre interwencje przynosiły pozytywne skutki. Liczba mieszkań oddawanych do użytku była jednak niewystarczająca. Przyczyn tej sytuacji należy szukać jeszcze w czasie II wojny światowej. Szacuje się, że Polska straciła wówczas ok. 2 milionów mieszkań<sup>17</sup>. Niemały wpływ na tę sytuację miał także wyż demograficzny – w okresie gomułkowskim ludzie z tego wyżu wchodzili właśnie w dorosłość. Przede wszystkim winna była zła polityka państwa. W początku lat sześćdziesiątych ponownie zaczęto kłaść nacisk przede wszystkim na rozbudowę przemysłu ciężkiego, niestety kosztem zaspokajania potrzeb mieszkaniowych. Wkrótce też wstrzymano przydziały mieszkań<sup>18</sup>.

Standard lokalów zajmowanych przez Polaków był daleki od ideału. W latach pięćdziesiątych na porządku dziennym w wielu miastach były rozpadające się, stare, drewniane domy, często z toaletami w podwórzu. Nierzadko zdarzały się sytuacje, w których jedną izbę mieszkalną zajmowało kilka osób. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa w Państwowych Gospodarstwach Rolnych, gdzie co piąta czteroosobowa rodzina, według wyników badań obejmujących lata 1958–1964, zajmowała mieszkania jednoizbowe<sup>19</sup>. Podobnie było także na wsiach, choć już od roku 1965 zaobserwowano wzrost kubatury nowo wznoszonych

<sup>16</sup> „Przyjaciółka” 1965, nr 24, s. 10.

<sup>17</sup> K. Madej, *Mieszkać w PRL*, „Mówią Wieki” 2005, nr 1, s. 34.

<sup>18</sup> *Ibidem*, s. 37.

<sup>19</sup> *Pracownicy państwowych gospodarstw rolnych w świetle badań ankietowych*, skrót pracy magisterskiej J. Kowalik, skrótu dokonał J. Górecki, Warszawa 1967, s. 32, cyt. za: E. Szpak, *Między osiedlem...*, s. 155.

mieszkań, niemniej łazienka – z wyjątkiem stref podmiejskich – należała wówczas jeszcze do rzadkości<sup>20</sup>.

Właśnie tych problemów dotyczyła spora część listów nadsyłanych do „Przyjaciółki”. Pan Waclaw z Warszawy starał się o lepsze mieszkanie ponad pięć lat. W jego starym domu panowały koszarne warunki: „straszny reumatyzm położył mnie stale do łóżka. [...] Dwie ściany, pod którymi śpią dzieci, porosłe są grzybem. Najmłodsza dziewczynka ma reumatycznie wykrzywione kolanka”<sup>21</sup>. Pod listem redakcja tygodnika zamieściła notatkę, że pan Waclaw i jego rodzina przeprowadzili się już do nowego mieszkania. Podobnych spraw było znacznie więcej. Młode małżeństwo z małym dzieckiem mieszkało na poddaszu komendy Milicji Obywatelskiej na warszawskim Mokotowie. Nie było tam ani wody, ani gazu. Mieszkanie obiecywano im od lat: „Jednocześnie pan L. składał wnioski i wydeptywał schody wydziału kwaterunkowego, gdzie obiecano mu, że zostanie zakwalifikowany do przydziału w pierwszej kolejności. I znów skończyło się na obietnicy”<sup>22</sup>. Listów o podobnej treści było wiele. Zły stan zajmowanych mieszkań, brak bieżącej wody, wszechobecna wilgoć – na to najczęściej skarżyli się czytelnicy „Przyjaciółki”.

Zdarzało się również, że nowo wybudowane lokale nie spełniały do końca oczekiwań „szczęśliwych” posiadaczy. Trzeba w tym miejscu powiedzieć, że ówczesne budownictwo z punktu widzenia zasad architektury było na ogół – mówiąc kolokwialnie – brzydkie, choć bywały także wyjątki. Jednakże tzw. mrówkowie stanowiły większość i do dziś straszą niemal we wszystkich polskich miastach. Ze względów oszczędnościowych przy wznoszeniu nowych mieszkań stosowano od 1959 r. na coraz szerszą skalę zasady „typizacji”, co oznaczało wprowadzenie norm projektowania opartego na uzgodnionym module i o określonych wymiarach<sup>23</sup>. Rzadko kiedy architekt mógł pozwolić sobie na realizację swych twórczych zamierzeń. W przypadku typowych bloków często ograniczano się do urozmaicenia monottonnych brył przez modyfikowanie kształtu balkonów czy innych małych elementów<sup>24</sup>. Mieszkania doby gomułkowskiej, określane przez niektórych wdzięcznym mianem „małpich klatek”, rzeczywiście były niewielkie. Powszechnie ograniczano „zbyteczne” powierzchnie, wznoszono ciemne małe kuchnie i łazienki.

Na skutki budowania w pośpiechu i tanim nakładem nie trzeba było długo czekać. Opadający tynk z nowych mieszkań, niesprawne instalacje gazowe, osławione krzywe podłogi i niedomykające się otwory okienne i drzwiowe obrosły już legendą. Motyw wadliwych instalacji i niedbale wykonanych mieszkań przewijał się w listach czytelników bardzo często. Radość świeżo upieczonej właścicielki nowego mieszkania w Częstochowie nie trwała długo, gdyż wkrótce okazało się, że wymagało ono sporego remontu. Zaczęło się od dymiącego pieca, potem było tylko gorzej: „Zameldowałam to w administracji, przyszli robotnicy

<sup>20</sup> H. Słabek, *Warunki bytowania chłopskiej ludności w latach 1945–1965. Przegląd problematyki*, „Dzieje Najnowsze” 1984, R. XVI, s. 90.

<sup>21</sup> *Mieszka lepiej*, „Przyjaciółka” 1958, nr 34, s. 7.

<sup>22</sup> *Na Mokotowie*, „Przyjaciółka” 1962, nr 7, s. 5.

<sup>23</sup> D. Jarosz, *Mieszkanie się należy... Studium z peerelowskich praktyk społecznych*, Warszawa 2010, s. 91.

<sup>24</sup> W. Kot, *PRL – Czas nonsensu*, Poznań 2007, s. 97.

i od progu zażądali »ćwiartki«, bo inaczej nie zabiorą się do roboty. Co miałam robić? – Dałam. Do tego kaloryfery ciekną, ubikacja nieczynna, łazienka zepsuła się po pierwszej kąpeli, okna między kuchnią i łazienką brak – jest tylko otwór, kontaktów brak. [...] Administrację meldowałam o każdym uszkodzeniu i albo przysyłali robotników, albo nie. Robotnicy z kolei żądali zapłaty lub »ćwiartki« i twierdzili, że te naprawy »należą« do mnie. Przecież ja tego wszystkiego nie zdążyłam zepsuć, w takim stanie otrzymałam”<sup>25</sup>.

Z nowych mieszkań cieszyli się także mieszkańcy jednego z osiedli w Łodzi, ale do pełnego szczęścia brakowało im jeszcze kilku rzeczy. Ich osiedle rozlokowane było na dość dużym terenie, ale nikt z administracji nie pomyślał o tym, że należało położyć także chodniki. Kiedy padał deszcz, mieszkańcy tonęli w zwałach błota. Nikt też nie wpadł na pomysł, by dla kilku tysięcy ludzi otworzyć w pobliżu sklep, w którym mogliby zaspokajać swe konsumenckie potrzeby<sup>26</sup>. Takie sytuacje były typowe dla całego okresu PRL.

Najszybciej stawiano osiedla robotnicze przy nowo powstałych hutach, kopalniach i zakładach, sytuowane często na peryferiach miast, za którymi jednak nie nadążała infrastruktura<sup>27</sup>. Takie osiedla były pozbawione sklepów, dróg, placów zabaw, usytuowanych w pobliżu szkół, przychodni czy żłobków. Mało tego, często sam dojazd do centrum był utrudniony. Nowo wybudowane osiedla nawet przez kilka lat nie dysponowały nie tylko niezbędnym zapleczem usługowym, ale także podstawowymi mediami. Mieszkańcy jednego z bloków w Dzieńmorowicach skarżyli się na brak odpowiedniej wody. Czerpali ją ze strumyka, który znajdował się niedaleko bloku oraz ze studzienki kanalizacyjnej: „Ze studzienki tej często wyciągamy koty i nawet szczury. [...] Przy bloku nie ma nawet ubikacji. [...] Powiedzieli nam, że jak płacimy za mieszkanie tylko po 14 zł, to nie powinniśmy zbyt wiele wymagać”<sup>28</sup>. Mieszkańcy bloków w Gołdapi żalili się, że mimo zakończenia remontu w ich domach nie podłączono instalacji elektrycznej: „Przewody elektryczne jak były tak i są związane na drzewie, skąd, jak łatwo się domyśleć, energia elektryczna do mieszkań nie chce dopływać”<sup>29</sup>. Często lokatorzy domów skarżyli się na brak ogrzewania. Tak było na przykład w Jaworznie, gdzie mieszkańcy zimą dosłownie zamarzali. Chociaż płacili za centralne ogrzewanie, ich kaloryfery stały się zimne<sup>30</sup>. Także pani Teresa z Gdyni skarżyła się na zimne kaloryfery: „Temperatura w mieszkaniach zimą jest grubo poniżej dopuszczalnej normy”<sup>31</sup>. Natomiast rodzina z Przemyśla pisała, że w ich nowym, „ślicznym” bloku co rusz pękały rury kanalizacyjne: „U nas w ciągu ostatnich miesięcy cztery razy pękały rury kanalizacyjne i choć za każdym razem były naprawiane, mieszkanie całe przesiąkło wilgocią i odorem. Za ostatnim razem powódź nieczystości trwała przez przeszło trzy tygodnie...”<sup>32</sup>. Niespełniające swej funkcji nowe mieszkania, które właściwie nie nadawały się do użytku, jak się wydaje, były

<sup>25</sup> *Zwykłe łapownictwo*, „Przyjaciółka” 1958, nr 2, s. 12.

<sup>26</sup> *I w Kozinach byłiby zadowoleni...*, „Przyjaciółka” 1959, nr 35, s. 5.

<sup>27</sup> W. Kot, PRL..., s. 31.

<sup>28</sup> *Dudni woda, dudni*, „Przyjaciółka” 1960, nr 28, s. 5.

<sup>29</sup> *Wyobrażamy to sobie tak*, „Przyjaciółka” 1961, nr 36, s. 12.

<sup>30</sup> *Zimno, ciepło, gorąco*, „Przyjaciółka” 1962, nr 2, s. 5.

<sup>31</sup> *Chyba za słońce*, „Przyjaciółka” 1962, nr 8, s. 8.

<sup>32</sup> *Kiedy leci na głowę...*, „Przyjaciółka” 1962, nr 43, s. 10.

w PRL normą. Za taki stan rzeczy odpowiadał przede wszystkim pośpiech w ich budowie oraz zła jakość wykorzystywanych materiałów. Stosowanie rozwiązań oszczędnościowych, z których zasłynął Gomułka, z góry było skazane na znacznie więcej strat niż korzyści.

Z tym zagadnieniem wiąże się również sprawa remontów, a umiejętności peerełowskich „fachowców” i „złotych rączek” obrosły już legendą. Siłą rzeczy, skoro obcinano wydatki na budownictwo mieszkaniowe, cięto pieniądze także na remonty. Dochodziło w związku z tym do sytuacji, w których właściciele nowych mieszkań przez wiele lat nie mogli doczekać się od administracji przysłania ekipy fachowców. Mieszkanka jednej ze wsi napisała list w imieniu swojej matki: „Moja matka wraz z małymi dziećmi mieszka w PGR – Stradzewo. Mieszkanie przypomina izbę piwniczną, jest tu ciemno i zimno. Piec jest zepsuty, cały dym idzie do pokoju, w drugim pokoju w ogóle nie ma pieca, na ścianach szron. Kierownik mówi, że to jest dobre mieszkanie”<sup>33</sup>. Pod listem redakcja zamieściła obietnicę kierownika, że mieszkanie zostanie wkrótce wyremontowane. Ciekawy list o remoncie przysłał czytelnik z Katowic: „Wiosną 1958 roku w budynkach mieszkalnych założono instalację gazową wraz z kuchenkami gazowymi. Na tym od 6 lat prace zostały przerwane i dotychczas nie podłączono dopływu gazu”<sup>34</sup>. Także pani Stefania nie mogła doczekać się na remont w swym zrujnowanym w czasie wojny mieszkaniu. Niech komentarzem będzie fakt, że list redakcja otrzymała w 1969 r.<sup>35</sup> Remontu nie mogła się doprosić także pani Krystyna z Brześcia Kujawskiego. Stan budynku był fatalny – w domu były dziury, które mieszkańcy na zimę zakrywali szmatami, okna przy otwarciu groziły wypadnięciem, a na strych można było się dostać tylko przez mieszkanie sąsiada, który „miał dosyć wędrówek z kosztami bielizny po swoim mieszkaniu”<sup>36</sup>. Pod listem pani Krystyny, administrator budynku zamieścił obietnicę, że wkrótce remont przeprowadzi. Natomiast 36 rodzin z Wałbrzycha wodę do picia pobierało z dwóch mocno podejrzanych studni, a do mycia i do prania – za pośrednictwem małego, starego wodociągu. Wodociąg czerpał wodę z małej studni, do której spływała woda ze strumyczka. W związku z budową w tamtym rejonie szkoły podstawowej zaplanowano odprowadzenie ścieku kanalizacyjnego do tegoż właśnie strumyczka, z którego 36 rodzin za pomocą lokalnego wodociągu czerpało wodę. Wprawdzie dzieci nie należy się brzydzić, ale...<sup>37</sup>.

Kłopoty czytelników „Przyjaciółki” nie wiązały się jedynie z samymi lokalami mieszkalnymi. Główną wadą budowania wielkich osiedli było nagromadzenie zbyt dużej liczby osób w jednym miejscu, na relatywnie zbyt małej przestrzeni. To zjawisko nie sprzyjało w żadnym wypadku integracji sąsiadów, wręcz przeciwnie, rodziło wiele konfliktów. Posiadanie kawałka własnej, prywatnej przestrzeni dla każdej osoby jest niezbędne niemal w takim samym stopniu, co obcowanie z drugim człowiekiem. W peerełowskim budownictwie zachowanie – nawet najmniejszej – indywidualnej strefy było mocno ograniczone, a narzucone przez

<sup>33</sup> *Dobre mieszkanie*, „Przyjaciółka” 1963, nr 15, s. 12.

<sup>34</sup> *Rozpacz*, „Przyjaciółka” 1965, nr 50, s. 7.

<sup>35</sup> *Remont*, „Przyjaciółka” 1969, nr 11, s. 12.

<sup>36</sup> *Słowo się rzekło...*, „Przyjaciółka” 1970, nr 14, s. 12.

<sup>37</sup> *Odczody do – wody*, „Przyjaciółka” 1965, nr 38, s. 10.

władze przepisy np. o odpowiedniej grubości ścian, którą zwiększono dopiero specjalnym dekretem w 1965 r.<sup>38</sup>, nie ułatwiały życia mieszkańcom blokowisk. W związku z tym trudności pojawiające się wokół samej przestrzeni mieszkalnej nierzadko gościły na łamach tygodnika. Do „Przyjaciółki” postanowiła napisać pani Zofia, która była oburzona postępowaniem pozostałych mieszkańców jej dwuletniego bloku. Kiedy czytelniczka wprowadzała się do nowego mieszkania, cieszyła się z czystych klatek i pięknych trawników. Po upływie dwóch lat jej blok nie wyglądał już tak pięknie: „Jak ktoś wynosi śmiecie – to, co spadnie z kubła, zostaje na schodach. Dzieci obijają i brudzą ściany korytarza. Ale matki nie zwracają im uwagi. – »Dom państwowo, niech więc państwo daje na remont« – mówi sąsiadka”<sup>39</sup>. Mieszkańcy osiedla w Starogardzie Gdańskim żalili się, że na ich podwórku niektórzy trzymali zwierzęta hodowlane, które wydierały niemiły zapach: „Jak dotychczas nie możemy otwierać okien, nie możemy odetchnąć świeżym powietrzem”<sup>40</sup>. Mieszkańcy warszawskiej dzielnicy Mokotów skarżyli się, że chociaż na ulicach były ustawione piękne, nowe latarnie, ulice po zmroku tonęły w ciemnościach. Gdy Rada Lokatorów interweniowała w tej sprawie, dowiedziała się, że ulice Mokotowa zostaną oświetlone za trzy lata, czyli w 1965 r.: „Lokatorzy domów przy wymienionych ulicach pytają redakcję, czy mogą wykręcić żarówki z latarni, wkręcić je w lampki domowe i światło skierować na ulicę? W ramach akcji »obywatele oświetlają stolicę«”<sup>41</sup>.

W wielu przypadkach najbardziej przeszkadzali jednak sąsiedzi. W czasach, kiedy powstawały osiedla giganty, na których mieszkało nie kilka, a kilkanaście tysięcy osób, uciążliwy sąsiad lub – co gorsza – sąsiedzi, mogli naprawdę uprzykrzyć życie reszcie lokatorów. Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że zaledwie cienkie ścianki oddzielały czyjeś bujne życie od mniej bujnego albo wręcz skromnego i spokojnego. Aby cieszyć się ciszą i prywatnością, na ścianach mieszkań wieszano zazwyczaj wyciszające maty trzcinowe dywany i makatki<sup>42</sup>. Mieszkanke jednego z bloków w Boguszowicach żaliły się na młode małżeństwo z sąsiedztwa, które z zamiłowaniem cały dzień słuchało głośno radia. Wszelkie próby rozmów z sąsiadami okazywały się nieskuteczne. „Przeszkadza to i małym dzieciom, które kładzie się spać o szóstej albo o siódmej wieczorem. Oni zresztą sami mają małe dziecko i gdy tylko zapłacze, jeszcze bardziej wzmacniają głośnik, aby zagłuszyć płacz dziecka”<sup>43</sup>. „Sąsiadem” pani Władysławy z Ełku były rozbieralnia mięsa i sklep masarski. Jak pisała czytelniczka, „w rozbieralni mięsa magazynuje się słoninę, sól zżera tynk, który odpada w kuchni ze ściany i powoduje wilgoć. [...] Agregaty tak wyją, że o śnie nie ma co marzyć”<sup>44</sup>. Mieszkańcy jednego z bloków skarżyli się na narzeczonego „panienki z przeciwka”. Mianowicie, chłopak po swą ukochaną przyjeżdżał niezwykle hałaśliwym motorem w bardzo wczesnych godzinach: „Wszyscy dookoła, chociaż życzą szczęścia tej młodej parze,

<sup>38</sup> W. Kot, *PRL...*, s. 31.

<sup>39</sup> *Czystość mego domu*, „Przyjaciółka” 1960, nr 7, s. 8.

<sup>40</sup> „*Pachnące osiedle*”, „Przyjaciółka” 1961, nr 41, s. 12.

<sup>41</sup> *Latarnie*, „Przyjaciółka” 1962, nr 40, s. 12.

<sup>42</sup> B. Klich-Kluczevska, *Przez dziurkę od klucza...*, s. 205.

<sup>43</sup> „*Wolność Tomku*” – czy – „*Nie czyni drugiemu*”, „Przyjaciółka” 1959, nr 1, s. 5.

<sup>44</sup> *Utrapiiony sąsiad*, „Przyjaciółka” 1961, nr 23, s. 7.

marzą o tym, żeby motocykl się zepsuł”<sup>45</sup>. Pani Krystyna co wieczór była świadkiem awantur, które jej sąsiad urządzał własnej żonie. Ta jednak nie pozostawała mu dłużna i wkrótce „cały dom i całe podwórko znało wszystkie szczegóły życia rodziny. Małżonkowie w ten sposób załatwiali swoje niezbyt czyste sprawy [...] wywlekając na wierzch wszystkie brudy, okraszając ten dialog niewybrednymi epitetami”<sup>46</sup>. Jednak na wszelkie argumenty sąsiadów, temperamentne małżeństwo pozostawało głuche.

Prawdziwą zmurą PRL była jednak przede wszystkim ciasnota w mieszkaniach. Z powodu katastrofalnej sytuacji mieszkaniowej nierzadko zdarzało się, że w jednym lokalu mieszkała wielopokoleniowa rodzina. Często mieszkanie dzieliły ze sobą całkiem obce osoby. Parcelacja dużych mieszkań była normą – w ten sposób władze dążyły do poprawienia sytuacji mieszkaniowej. Choć z tych praktyk zaczęto powoli wycofywać się już w 1956 r., to jednak w sytuacji, gdy na przydział czekano 10–15 lat, wiele osób jeszcze długo było zmuszonych do egzystowania w tak ciężkich warunkach. Jeszcze w 1961 r. autorka listu z Poznania przeżywała prawdziwy dramat. Zakwaterowano ją w trzypokojowym mieszkaniu wraz z mężem i czworgiem dzieci. Sytuacja byłaby komfortowa, gdyby nie fakt, że dwa pokoje zajmowała Rzemieślnicza Spółdzielnia Krawców. Jak pisała poznanianka, codziennie ze wspólnej ubikacji korzystało szesnastu mężczyzn: „Ubikacja jest stale tak zalana, że brudy przeciekają na niższe piętro. Interwencje sąsiadów są bezskuteczne. Ściany od wielu lat niemalowane odnowiliśmy sami. Pracownicy spółdzielni wysmarowali je kałem, a wycierają się zasłoną, która odgradza ubikację od łazienki...[...] Szczotki, ścierki, proszki – to nasze wydatki, bo nie chcemy dopuścić do jakiejś choroby zakaźnej. Ubikacja jest stale zajęta, a przeprać coś w łazience można tylko nocą”<sup>47</sup>.

W mieszkaniach podzielonych bardzo trudno było o swobodę. Niekiedy, zwłaszcza w starym budownictwie, zdarzało się, iż mieszkańcy nie dość, że korzystali z jednej kuchni, łazienki i przedpokoju, byli zmuszeni również do przechodzenia przez pokoje swoich współlokatorów. Wspólny kwaterunek obejmował zazwyczaj mieszkania większe trzy-, czteropokojowe. Przeważnie jedna rodzina zajmowała jeden pokój, choć zdarzali się również prawdziwi „szczęściarze” zajmujący dwie izby.

Z powodu złej sytuacji na rynku mieszkaniowym wiele osób decydowało się na mieszkanie u prywatnego właściciela, jednak często również narzekało na złą sytuację. Jak donosiło kilkoro mieszkańców kamienicy z Włocławka, ich gospodarz był prawdziwym dręczycielem. Nie dość, że stale podnosił wysokość czynszu, to jeszcze kłócił się o każdy drobiazg: „wkręcił żarówkę do korytarza. Żarówka taka w sklepie kosztuje 4 zł 80 gr, a on wzięł od nas 8 zł. Jedna z lokatorek prosiła go, żeby wskazał miejsce, gdzie są takie drogie żarówki, ale wynikła z tego tylko awantura. [...] Gospodarz chowa nutrie i w związku z tym zużywa bardzo dużo wody. Ale za tę wodę to – zdaje się – my płacimy”<sup>48</sup>. Pani Katarzyna także skarży

<sup>45</sup> *Nie czyni drugiemu...*, „Przyjaciółka” 1961, nr 43, s. 12.

<sup>46</sup> *Porozmawiajmy*, „Przyjaciółka” 1970, nr 44, s. 5.

<sup>47</sup> *Dramat mieszkaniowy*, „Przyjaciółka” 1961, nr 31, s. 12.

<sup>48</sup> *Wolność Tomku...*, „Przyjaciółka” 1958, nr 3, s. 12.

ła się na prywatnego właściciela. Mianowicie, oprócz płacenia wcale niemałego czynszu, gospodarz żądał od lokatorów pokrycia wydatków za malowanie klatki schodowej, za wstawienie szyb w drzwiach wejściowych itp.<sup>49</sup>

## Kłopoty w pracy

Korespondencja dotycząca szeroko rozumianych kłopotów w pracy stanowiła 12 proc. listów, które poddano badaniu. Zaliczono do nich skargi na warunki panujące w zakładach pracy, nieprzestrzeganie przepisów BHP, wypadki oraz zwalnianie kobiet w ciąży. Cechą charakterystyczną PRL był kult pracy, a robotników określano mianem „przewodniej siły narodu”. W czasie trwania planu sześcioletniego ich liczba wzrosła niemal dwukrotnie. Jednakże trzy kolejne plany pięcioletnie wprowadzone za rządów Gomułki dawały coraz gorsze wyniki, a „wtórna industrializacja” okazała się niewypałem. Mimo to w okresie drugiej pięciolatki, w latach 1961–1965, zatrudnienie zwiększyło się o 85 proc., podczas gdy wydajność wynosiła zaledwie 10 proc.<sup>50</sup> Warunki, w których pracowano, były dalekie od ideału. Często dochodziło do sytuacji, w których pracownikom nie wypłacano na czas i tak zbyt małych pensji. Nagminnie też, mimo obowiązywania ustawy z 1948 r.<sup>51</sup>, dochodziło do zwalniania z pracy kobiet ciężarnych.

Słowa wypowiedziane przez Władysława Gomułkę w Gliwicach 3 grudnia 1958 r.: „naród odnosi się do górników z wielkim szacunkiem za ich męstwo i odwagę, za ich żmudną pracę pomnażającą bogactwa naszego kraju” są dobrym przykładem peerelowskiej propagandy kreującej wizerunek robotnika bohatera. Za wzór do naśladowania stawiano przodowników pracy, których zdjęcia zamieszczano na pierwszych stronach gazet. Niemal od samego początku wprowadzono współzawodnictwo pracy, natomiast w latach sześćdziesiątych rozwinięto na szerszą skalę rywalizację o różne tytuły, np. o tytuł „Najlepszego w zawodzie”. Na mocy uchwały Prezydium Centralnej Rady Związków Zawodowych i Prezydium Komitetu Centralnego Związku Młodzieży Socjalistycznej z dnia 22 marca 1962 r. wprowadzono współzawodnictwo o tytuł Brygady, Oddziału i Przodownika Socjalistycznej Pracy. Zresztą takich odznak i tytułów honorowych było znacznie więcej, np. Zasłużony Górnik PRL, Kolarz, Stocznio-wiec, Hutnik, Portowiec, Energetyk itd., u schyłku lat sześćdziesiątych zaś ponad 30 grup zawodowych miało przywilej obchodzenia własnego święta branżowego<sup>52</sup>. Rzeczywistość była jednak brutalniejsza. Wbrew propagandowym deklaracjom władzy, podkreślającym dbanie o robotników, ich sytuacja była ciężka. Żle opłacani, pracujący bardzo często ponad siły i w kiepskich warunkach niejednokrotnie opisywali swoje kłopoty na łamach „Przyjaciółki”.

Górnicy z kopalni „Katowice” żalili się w swym liście na ciężkie warunki pracy: „Przy jednym prysznicu czeka kolejka 4–5 górników, jeden drugiego pogania,

<sup>49</sup> *U prywatnego gospodarza*, „Przyjaciółka” 1965, nr 18, s. 5.

<sup>50</sup> W. Kot, *PRL...*, s. 79.

<sup>51</sup> Ustawa z dn. 28 IV 1948 r. o zmianie ustawy z dn. 2 VII 1924 r. w przedmiocie pracy młodocianych kobiet, *Dziennik Ustaw* (dalej: Dz.U.) 1948, nr 27, poz. 182.

<sup>52</sup> W. Kot, *PRL...*, s. 93.

często wynikają kłótnie, którym zresztą nie ma się co dziwić, bo każdy chciałby dostać się jak najszybciej do domu”<sup>53</sup>. Także cewiarki z Nowej Rudy skarżyły się na nieodpowiednie warunki pracy. Mianowicie, w ich zakładzie nagminnie brakowało cewek: „Ciągłe tych cewek brak, a kobiety z rozpacz i zdenerwowania formalnie biją się o nie. Nawet tak się raz działo, że jedna cewiarka nazbierała cewek z krosien, a druga chciała to jej zabrać. Wmieszał się w to majster i chciał jej na siłę tę skrzyneczkę cewek zabrać”<sup>54</sup>.

Hasła wzywające do przestrzegania bezpieczeństwa i higieny pracy były w całym okresie PRL wszechobecne. Wielokrotnie temat ten poruszano w Polskiej Kronice Filmowej, w zakładach pracy wieszano plakaty propagandowe i metalowe tablice BHP. Często jednak dochodziło do sytuacji, w których łamano podstawowe przepisy bezpieczeństwa. Pracownik Łódzkich Zakładów Włókien Sztucznych żalił się, że nie zainstalowano tam wentylatorów<sup>55</sup>. Natomiast pan Jan z Sosnowca skarżył się na pracę w ogromnym hałasie: „Zauważyłem, że po pracy słyszę gorzej, a rodzina zwraca mi uwagę, że bardzo głośno mówię”<sup>56</sup>. Kiedy czytelnik zwrócił się do pracownika odpowiedzialnego za przepisy BHP, ten odrzekł mu, że po pewnym czasie na pewno się przyzwyczai. Także w Lęborku pracownice paczkarni, w której zajmowały się pakowaniem mąki i cukru, pracowały w nieodpowiednich warunkach: „paczkarnia znajduje się w pomieszczeniu tak ciasnym, że z trudem rozstawiono stoły do paczkowania. Wentylator, zabytek z zamierzchłej epoki, nie nadaje się do użytku. Stałe przeciągi powodują bóle głowy”<sup>57</sup>. W dużym stopniu złe warunki wynikały z niewystarczającego standardu miejsc pracy. Wiele zakładów i fabryk było źle wyposażonych, zarówno pod względem technologicznym, jak i sanitarnym. Przestarzałe sprzęty oraz lekceważenie podstawowych zasad bezpieczeństwa powodowały, że wiele osób pracowało w warunkach skrajnie szkodliwych.

Sytuacje zagrożenia zdrowia stwarzali nieraz sami zatrudnieni. W przypadku pani Janki z Sosnowca na kłopoty zdrowotne narażał ją jej współpracownik: „Pracuję w biurze, w jednym pokoju z człowiekiem, który bez przerwy pali papierosy. Ponieważ wypala kilka paczek dziennie, musi kupować »Sporty«, papierosy tanie, o bardzo ostrym zapachu dymu. [...] Nie pomagają żadne prośby i zakazy. Nasz palacz nie chce wychodzić z papierosem na korytarz. Na moje prośby odpowiada: – Trudno. Palenia się nie oduczę”<sup>58</sup>. Natomiast pracownicy sklepu z meblami w Kutnie towary znosili ze strychu – gdyż tam składowano meble – po drabinie strażackiej, zastępującej schody: „Pracownicy magazynu dźwigają po niej na wysokość 4 metrów stoły, krzesła, łóżeczka dziecięce itd. Z trudem wnoszą je i wynoszą, tracąc niepotrzebnie wiele sił i zdrowia”<sup>59</sup>. Lekceważenie przez pracowników własnego bezpieczeństwa było powszechne. Wyniki badań z lat sześćdziesiątych dowodzą, że często sami pracownicy mieli niskie wymagania wobec zdrowotnych warunków pracy, które z jednej strony mogły wynikać

<sup>53</sup> *O łaźni, drodze i sklepie*, „Przyjaciółka” 1958, nr 11, s. 14.

<sup>54</sup> *Kiedy będą cewki?*, „Przyjaciółka” 1958, nr 16, s. 9.

<sup>55</sup> *Zalutowane i do zalutowania*, „Przyjaciółka” 1959, nr 42, s. 7.

<sup>56</sup> *Listy o hałasie*, „Przyjaciółka” 1961, nr 4, s. 5.

<sup>57</sup> *Oszczędność wzbogaca*, „Przyjaciółka” 1962, nr 29, s. 11.

<sup>58</sup> *Od pana ludzie uciekają*, „Przyjaciółka” 1962, nr 1, s. 11.

<sup>59</sup> *Po meble – po drabinie*, „Przyjaciółka” 1965, nr 42, s. 7.

z ich niewystarczającej świadomości, z drugiej zaś strony z braku nadziei na ich poprawę<sup>60</sup>. Wielokrotnie dochodziło również do sytuacji, w których nawet jeżeli zakład zapewniał np. rękawice ochronne, detergenty czy inne środki niezbędne do zachowania higieny, ostatecznie wędrowały one do domu pracownika<sup>61</sup>.

Zagadnieniem ściśle powiązanim z warunkami pracy są wypadki, którym ulegali zatrudnieni. Niestety nieodpowiedni standard zakładów i lekceważenie przepisów BHP zarówno przez pracodawców, jak i przez samych pracowników, powodowały wiele groźnych sytuacji. Wbrew szumnym zapewnieniom: „Zachowanie zdrowia pracownika i przedłużenie życia w warunkach pełnej zdolności do pracy jest zasadniczym celem polityki i stałej troski Partii, Rządu i Związków Zawodowych w Polsce Ludowej”<sup>62</sup> poszkodowani pracownicy często byli pozostawiani samym sobie. Teoretycznie pracownik ulegający wypadkowi przy pracy lub chorobie zawodowej miał prawo do świadczenia ubezpieczeniowego, a także do leczenia skutków wypadku w czasie nieograniczonym oraz do zasiłku chorobowego. Jeżeli po ukończeniu leczenia pozostały trwałe skutki, poszkodowany uzyskiwał prawo do renty, co zapewniała ustawa z dnia 28 marca 1958 r.<sup>63</sup> Rzeczywistość rysowana przez czytelników „Przyjaciółki” wyglądała zgoła inaczej. Kłopoty z wyegzekwowaniem należnego odszkodowania miała dziewiętnastoletnia pracownica Parowozowni PKP w Opolu, której na skutek zgniecenia stopy lekarze musieli obciąć trzy palce. Kiedy dziewczyna wróciła do pracy, rozpoczęła starania o wypłatę odszkodowania. Zebrała się specjalna komisja, która orzekła, że rzeczywiście odszkodowanie jej się należy. Nakazano jej się zwrócić do Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych we Wrocławiu. Mimo upływu czasu dziewczynie nie wypłacono odszkodowania, więc poprosiła o pomoc „Przyjaciółkę”<sup>64</sup>. Podobnie było w przypadku pani Zofii, która po wypadku swą pracę mogła wykonywać jedynie jedną ręką. Napisała ona w liście, że od czasu wypadku była gorzej traktowana niż inni pracownicy, a w dodatku nie mogła wyegzekwować od zatrudniającego ją zakładu odszkodowania<sup>65</sup>.

Wiedzę pracowników o grożących im niebezpieczeństwach miały podnosić różnego rodzaju poradniki, artykuły prasowe i broszury traktujące o konieczności zachowania należytej uwagi przy pracy i przestrzegające przed dekoncentracją. Cechą charakterystyczną było to, że to pracownika obarczano winą za możliwe wypadki. Bardzo ciekawą i zawierającą wiele rad dotyczących pracy i zachowania bezpieczeństwa pozycją była „Biblioteczka Przyjaciela przy Pracy”, gdzie zajmowano się takimi problemami jak higiena osobista pracownika<sup>66</sup>, jak posługiwać się urządzeniami elektrycznymi w przemyśle<sup>67</sup> albo czy znasz

<sup>60</sup> J. Kulpińska, A. Gniazdowski, W. Jaśkiewicz, P. Tobera, *Postawy robotników wobec pracy* [w:] *Współczesna polska klasa robotnicza*, red. Z. Boksański, J. Kulpińska, J. Woskowski, Warszawa 1975, s. 157.

<sup>61</sup> M. Mazurek, *Socjalistyczny zakład pracy. Porównanie fabrycznej codzienności w PRL i NRD u progu lat sześćdziesiątych*, Warszawa 2005, s. 197.

<sup>62</sup> „Biuletyn Komisji Głównej miesiąca BHP”, 20 XI – 20 XII 1959, s. 1.

<sup>63</sup> Dz.U. 1958, nr 21, poz. 93.

<sup>64</sup> *Zalutwia się – latami*, „Przyjaciółka” 1961, nr 12, s. 12.

<sup>65</sup> *Sprawa Zofii*, „Przyjaciółka” 1963, nr 48, s. 11.

<sup>66</sup> J. Leowski, *Higiena osobista pracownika*, „Biblioteczka Przyjaciela przy Pracy” 1959, nr 15.

<sup>67</sup> R. Wąsek, *Jak posługiwać się urządzeniami elektrycznymi w przemyśle*, „Biblioteczka Przyjaciela przy Pracy” 1959, nr 11.

niebezpieczeństwo elektryczności statycznej<sup>68</sup>. W rozmaitych artykułach wielokrotnie poruszano problemy dotyczące istoty bezpieczeństwa oraz metod służących jego podnoszeniu, bo „jeżeli już nasz towarzysz pracy, wskutek tych czy innych przyczyn, zapłacił pewną daninę krwi, to niech ta krew przynajmniej nie zostanie przelana na darmo [...] Niech strach i ból, przeżywany przez poszkodowanego w chwili wypadku, stanie się jednym z czynników, które złożą się na zaoszczędzenie tych przeżyć innym towarzyszom pracy, pracującym w takich samych, bądź podobnych warunkach”<sup>69</sup>. Również na V Plenum Centralnej Rady Związków Zawodowych w kwietniu 1959 r. dokonano szczegółowej analizy stanu bezpieczeństwa i higieny pracy i uznano, że jedną z przyczyn dużej wypadkowości było przede wszystkim nieprzestrzeganie przepisów BHP. Jednocześnie zaapelowano do rządu o wyciąganie konsekwencji prawnych wobec osób lekceważących przepisy<sup>70</sup>.

Nagminnym zjawiskiem było także zwalnianie z pracy kobiet ciężarnych. Istniały wprawdzie przepisy mające chronić kobiety w ciąży<sup>71</sup>, ale ich postanowień bardzo często nie przestrzegano. Przykładem takiego martwego przepisu był np. okólnik ministra pracy i opieki społecznej z 24 lipca 1953 r. w sprawie ochrony macierzyństwa pracownicy<sup>72</sup>. Pokrzywdzone i rozgoryczone kobiety nadsyłały do „Przyjaciółki” listy. W niektórych sprawach, po interwencji tygodnika, udawało się pomóc. Czytelniczka z Jaworzna pracowała w tamtejszej elektrowni. Pewnego dnia wezwał ją do siebie kierownik, który poinformował, ją, że zostanie przeniesiona na takie samo stanowisko, tyle że do Katowic. Dodał także, że w razie niewyrażenia zgody na przeniesienie zostanie zwolniona z pracy. Kobieta nie zgodziła się, a że była w ciąży, ufała, iż kierownik tego nie zrobi. Pomyliła się jednak, gdyż mimo przedstawienia zaświadczenia lekarskiego potwierdzającego ciążę wręczono jej wypowiedzenie pracy<sup>73</sup>. Przykładów różnych nadużyć można znaleźć w listach dziesiątki. Pani Krystyna pisała: „Pracuję od dwóch lat w stołówce przy Sądzie Powiatowym w Zamościu. W bieżącym roku wyszłam za mąż i obecnie jestem w ciąży. Gdy zauważyła to kierowniczką stołówki, wręczyła mi zwolnienie bez wypowiedzenia, twierdząc, że nie ma takiej ustawy, która zabrania zwolnić kobietę w ciąży”<sup>74</sup>. Także jedna z czytelniczek, pracująca w zakładzie jajczarskim, została zwolniona, chociaż była w ciąży. Po trzymiesięcznych „bojach” przywrócono ją wprawdzie do pracy, lecz dyrekcja nie wypłaciła jej odszkodowania za bezprawne zwolnienie<sup>75</sup>. Inny problem miała pani Władysława,

<sup>68</sup> K. Pazdro, *Czy znasz niebezpieczeństwo elektryczności statycznej*, „Biblioteczka Przyjaciela przy Pracy” 1960, nr 3.

<sup>69</sup> E.Z. Roslanowski, *Praktyczne sposoby ewidencji i statystyki wypadków w zakładzie pracy i jednostkach nadrzędnych*, „Biblioteczka Przyjaciela przy Pracy” 1957, nr 1.

<sup>70</sup> *Uchwała V Plenum CRZZ Centralnej Rady Związków Zawodowych z dnia 24 IV 1959 r. w sprawie polepszenia warunków pracy w zakładach*, Warszawa 1959, s. 12.

<sup>71</sup> Wśród nich zakaz przeprowadzania przez społeczne zakłady służby zdrowia badań ginekologicznych kandydatek do pracy (Instrukcja nr 53/53 ministra zdrowia z dn. 10 VII 1953 r. – *Dziennik Urzędowy Ministra Zdrowia* 1953, nr 14, poz. 108); art. 66 Konstytucji gwarantujący ochronę pracownicy ciężarnej – *Dz.U.* 1952, nr 33 poz. 232.

<sup>72</sup> *Monitor Polski* 1953, nr 77, poz. 926.

<sup>73</sup> *Nie ma żadnych podstaw*, „Przyjaciółka” 1958, nr 31, s. 10.

<sup>74</sup> *Oczekujemy innej decyzji*, „Przyjaciółka” 1959, nr 24, s. 9.

<sup>75</sup> *Odszkodowanie – z kieszeni kierownika*, „Przyjaciółka” 1960, nr 20, s. 9.

która pracowała w kamieniołomach. Kiedy była już w szóstym miesiącu ciąży, poszła do lekarza, który wystawił jej skierowanie do lżejszej pracy. Wprawdzie kobiecie przydzielono łatwiejsze zajęcia, ale jednocześnie jej zarobki zmniejszyły się o połowę: „Kierownik rejonu powiedział mi, że nie należy się płaca taka, jak za ubiegłe miesiące, bo do nowej pracy skierował mnie lekarz, a nie kierownik rejonu”<sup>76</sup>. Podobnie było w przypadku pani Urszuli z Malborka, która pracowała w jednej z tamtejszych restauracji. Gdy w szóstym miesiącu ciąży przeniesiono ją do prostszej pracy, w jej przypadku – do kuchni, kobiecie drastycznie zmniejszyła się pensja<sup>77</sup>. Natomiast panią Marię zwolniono z pracy, bo... urodziła bliźnięta. Matce bliźniąt należały się dwie czterdziestopięciominutowe przerwy w pracy na karmienie, więc pani Maria skwapliwie z nich korzystała. „Ale pewnego dnia kierownik zakładu oświadczył groźnie: »albo bliźniaki, albo praca«”<sup>78</sup>. Czytelniczka wybrała bliźniaki, więc została zwolniona. Z kolei panią Annę zwolniono z pracy, gdy po powrocie z urlopu macierzyńskiego poprosiła kierownictwo o przeniesienie na dzienną zmianę, ze względu na konieczność opieki nad niemowlęciem<sup>79</sup>.

Listy dotyczące kłopotów w pracy poruszały tematykę trudną, lecz zdarzały się również sytuacje dosyć zabawne, które warto przytoczyć dla zachowania równowagi. Sprzątaczką z Wrocławia napisała list, w którym żaliła się na nadmierną liczbę kierowników. Jej pracę, a także pozostałych dziewiętnastu sprzątarek ulic nadzorowało „aż” czterech kierowników: „Opiekunowie siedzą sobie w suterence [...] i rozmawiają. W zasadzie jedynym ich zadaniem jest sprawdzenie, czy my pracujemy. Czy nie mógłby tego robić jeden, podczas gdy pozostali mogliby także wziąć miotły do ręki, żeby we Wrocławiu było czystiej?”<sup>80</sup>. Natomiast czytelniczka z Lipna donosiła, że co roku pracowała sezonowo w przetwórni owocowej. Jednak pewnego lata kobiety nie zatrudniono, gdyż tłumaczono się brakiem urodzaju na owoce. Autorka listu miała na ten temat inne zdanie: „To tłumaczenie nie trafia mi do przekonania. Śliwy na przykład w tym roku świetnie u nas obrodziły. Przetwórnia nie robi jednak nic ze śliwek, bo... w magazynach stoją do dziś zeszłoroczne wyroby”<sup>81</sup>. Oburzona czytelniczka napisała do „Przyjaciółki” list o następującej treści: „Dlaczego nikt się tym nie zajmie. W naszej spółdzielni dziewiarskiej pracują stare i młode pracownice. Te stare szanują pracę, a wśród młodych są »latawce«. Pod byle jakim pretekstem jedna z drugą zwalnia się z pracy. A to, że jej dziecko choruje (a wiadomo, że dziecko jej chowa teściowa), a to, że ma jakieś wezwanie z urzędu, albo że ma przyjść hydraulik, a kiedy indziej, że ktoś z gazowni. Wciąż jakieś wykręty. Przewróci oczami do majstra i zwolnienie na dwie godziny, na pół dnia z głowy”<sup>82</sup>. W podobnym tonie wypowiadała się jedna z mieszkanek wsi, do której miano doprowadzać instalację gazową. Narzekała ona na leniwych robotników: „sześciu pracowników przychodzi ok. 8.00 i kończy pracę już o 14.30. Przez ten czas nie przekopią nawet 50 metrów

<sup>76</sup> *Po szóstym miesiącu*, „Przyjaciółka” 1960, nr 23, s. 12.

<sup>77</sup> *Lżejsza praca*, „Przyjaciółka” 1963, nr 4, s. 5.

<sup>78</sup> *Sytuacja Marii*, „Przyjaciółka” 1963, nr 48, s. 12.

<sup>79</sup> *Bezprawnie zwolniona*, „Przyjaciółka” 1969, nr 9, s. 9.

<sup>80</sup> *Sprzątaczkki i ich opiekunowie*, „Przyjaciółka” 1960, nr 10, s. 11.

<sup>81</sup> *Magazyn pełen kompotów*, „Przyjaciółka” 1961, nr 35, s. 12.

<sup>82</sup> *Porozmawiamy*, „Przyjaciółka” 1970, nr 32, s. 5.

miękkiej ziemi na polnej drodze. Przeważnie leżą, siedzą, śpią lub wałęsają się po okolicznych ogrodach, obrywając owoce. Nikt ich nie kontroluje. Czy jesteśmy już tak bogaci, że stać nas na płacenie za nieróbstwo?”<sup>83</sup>.

## Służba zdrowia

Stan służby zdrowia w PRL był fatalny, a listy o tej tematyce stanowiły 10 proc. wszystkich opublikowanych. W czasie wojny zniszczono wiele placówek medycznych, zginęło wielu lekarzy. Wprawdzie starano się pomalutku odbudowywać szpitale i przychodnie, ale proces ten trwał zbyt długo. Państwo musiało zapewnić chorującym obywatelom opiekę zdrowotną. Jednak warunki panujące w szpitalach były wręcz spartańskie, a z braku odpowiednich lokali nadających się na placówki medyczne na porządku dziennym było umieszczanie chorych w prowizorycznych szpitalach. Także w późniejszym okresie sytuacja nie uległa wystarczającej poprawie. Co prawda, budowano nowe szpitale, ale warunki w nich panujące dalekie były od ideału. Placówki były przepełnione, źle opłacani lekarze domagali się łapówek, a w aptekach stale brakowało leków. Pod koniec lat sześćdziesiątych statystycznie na 1 tys. mieszkańców PRL przypadało dwóch lekarzy, a liczba łóżek szpitalnych lokowała nas na jednym z ostatnich miejsc w Europie<sup>84</sup>. Również sam styl życia ludzi wpływał znacząco na ich stan zdrowia. Przemęczenie, praca ponad siły, niedożywienie, alkohol, nałogowe palenie papierosów, brak odpowiedniej higieny i opieki wykwalifikowanych lekarzy i przede wszystkim profilaktyki negatywnie odbijał się na zdrowiu Polaków.

Ludzie, kiedy zachorują, udają się do lekarza. Jest to odruch naturalny i prawidłowy, gdyż służba zdrowia funkcjonowała i funkcjonuje – przynajmniej teoretycznie – po to, by udzielać niezbędnej pomocy chorym. Okazuje się jednak, że nie zawsze lekarze pamiętali o przysiędze Hipokratesa. Pani Stefania napisała list do „Przyjaciółki” – skarżyła się w nim, że jej córeczka, której na skutek wrzodu spuchł policzek, nie otrzymała fachowej pomocy. Matka jednak nie wiedziała, co spowodowało opuchliznę, przypuszczała, że to od zęba, więc udała się z dzieckiem do dentysty. Tam „specjalista” także nie poznał się na chorobie i wyrwał córce jeden ząb. Opuchlizna jednak nie zeszła, więc pani Stefania udała się do pediatry. Doktor rozpoznał przyczynę spuchnięcia, „chciał zapisać penicylinę, ale jego żona, która jest dentystką, nie pozwoliła. Zaządała, żebym przede wszystkim przyniosła zaświadczenie od dentysty, który usuwał ząb, że to on spowodował tę puchlinę. Jak mogłam [...] prosić o takie zaświadczenie, kiedy sama dobrze wiedziałam, że już przed półroczem do dentysty dziecku puchła twarz, więc to nie była wina tamtego dentysty”<sup>85</sup>. W rezultacie córka pani Stefanii nie otrzymała od żadnego z lekarzy lekarstwa. Trochę bardziej wyrozumiałe okazały się natomiast farmaceutki, które w aptece sprzedały jej lek bez recepty.

Lekarz nie udzielił pomocy także dziecku pani Zofii z Łodzi. Pięciomiesięcznemu bobasowi zrobił się na szyi czyrak. Dziecko cierpiało, dostało gorączki i nie

<sup>83</sup> *Czy się stoi, czy się leży...*, „Przyjaciółka” 1970, nr 39, s. 7.

<sup>84</sup> W. Kot, *PRL...*, s. 101.

<sup>85</sup> *Chorzy się nie liczą*, „Przyjaciółka” 1958, nr 9, s. 10.

chciało nic jeść. Pani Zofia udała się z nim do poradni, ale tam skierowano ją do chirurga, który przyjmował w godzinach od 14.00 do 16.00. Takie godziny przyjęć autorce listu nawet były na rękę, gdyż zostawiła ona samo w domu drugie, niewiele starsze dziecko. Pobiegła zatem szybko do mieszkania, nakarmiła drugie dziecko, położyła je do snu i taksówką pojechała do chirurga. Na miejscu, co prawda, okazało się, że lekarka przyjmowała tylko do 15.30 i szykowała się już do wyjścia, a była dopiero godzina 14.45. Pani Zofia usłyszała jednak, że lekarka dziecka nawet nie obejrzy, gdyż chce już iść do domu. Kobiętę wyproszono z gabinetu, lecz ta usiadła w poczekalni z nadzieją, że chirurg się nad dzieckiem ulituje. Po pewnym czasie do gabinetu przyszły dwie inne kobiety, które z lekarką piły kawę i plotkowały. Kiedy zbliżyła się godzina 15.30 lekarka wraz z nimi opuściła gabinet, a gdy zauważyła panią Zofię z płaczącym dzieckiem, poleciła pielęgniarkę: „Niech pani wytłumaczy tej kobiecie, żeby poszła gdzie indziej, bo ja już nie mam siły”<sup>86</sup>. Również jakość niesionej pomocy często pozostawiała wiele do życzenia. Do „Przyjaciółki” napisała oburzona matka kilkuletniego dziecka, któremu pielęgniarka w jednej ze szkół podstawowych za wcześniej wstrzyknęła kolejną dawkę szczepionki, narażając małego pacjenta na niebezpieczne komplikacje<sup>87</sup>.

W złej sytuacji znajdowali się głównie mieszkańcy wsi. Jeszcze w 1964 r. śmiertelność niemowląt urodzonych na wsi była o jedną trzecią wyższa od tych, które przychodziły na świat w mieście, a jeden wiejski ośrodek zdrowia przypadał na 8–10 tys. mieszkańców<sup>88</sup>. Tragizm tej sytuacji dobrze obrazuje list jednego z czytelników „Przyjaciółki”, którego dziecko zachorowało na zapalenie płuc. W związku z tym lekarz wypisał receptę na wykupienie leków. Do lekarza autor listu musiał pokonać odległość 5 km, a do apteki – 14 km. Kiedy przybył na miejsce, farmaceutka oznajmiła, że nie wyda leków, gdyż recepta jest „nieczytelna”. Zdezorientowany i zaniepokojony stanem zdrowia dziecka ojciec, wyruszył ponownie do lekarza: „ale on powiedział, że recepta jest dobra, tylko ta pani w aptecce chyba nie potrafi czytać”<sup>89</sup>.

Opieka nad kobietami w ciąży również pozostawiała wiele do życzenia. Ciężarna pani Natalia czuła się bardzo słabo i źle znosiła swój stan. W poradni dla kobiet ciężarnych nie została jednak przyjęta, gdyż była „dopiero” w czwartym miesiącu. Do „Przyjaciółki” napisała: „powiedziano mi, że czwarty miesiąc to jeszcze dla nich nie ciąża, że przyjmują tylko wtedy, gdy ciężarna odczuwa już ruchy”<sup>90</sup>. Czytelniczkę odesłano do ginekologa. Nazajutrz pani Natalia udała się do niego, ale jakież było jej zdziwienie, gdy doktor wysłał ją do... poradni dla kobiet ciężarnych. Zrezygnowana autorka listu poprosiła „Przyjaciółkę” o wydrukowanie informacji, jakie witaminy może przyjmować, gdyż pozostało jej jedynie leczenie się w domu.

Także w przychodni kolejowej w Gnieźnie nie działa się najlepiej. Ciężarna czytelniczka z tego miasta udała się tam do lekarza ginekologa. Pierwszego dnia nie dostała się jednak, gdyż lekarz rejonowy, przyjmujący do tej pory w godzinach

<sup>86</sup> *Niech pani wytłumaczy tej kobiecie...*, „Przyjaciółka” 1959, nr 7, s. 12.

<sup>87</sup> *Porozmawiajmy*, „Przyjaciółka” 1969, nr 27, s. 12.

<sup>88</sup> W. Kot, *PRL...*, s. 101.

<sup>89</sup> *Życia nie wolno lekceważyć*, „Przyjaciółka” 1960, nr 17, s. 12.

<sup>90</sup> *Po prostu kpiny*, „Przyjaciółka” 1958, nr 23, s. 7.

rannych, został przeniesiony na popołudnie. Kobięcie kazano przyjść następnego dnia na godzinę 15.00. Kiedy ta zjawiała się w przychodni na drugi dzień, okazało się, że lekarza nie było, bo się rozchorował: „Trzeciego dnia [...] skierowano mnie do innego lekarza. Nie chcąc się zwalniać z pracy, poszłam o godz. 16.00. Na tabliczce na drzwiach gabinetu jest napisane, że przyjęcia trwają do godz. 17.30, ale lekarz wyszedł o godz. 16.00. I tym razem nic nie załatwiłam. Nie wytrzymałam i już więcej nie pójde”<sup>91</sup>.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że tematyka seksu i antykoncepcji w omawianym okresie właściwie się nie pojawiała, choć Krzysztof Kosiński wskazuje, że wraz z nadejściem lat sześćdziesiątych pomału zaczęły zachodzić w naszym społeczeństwie także zmiany obyczajowe<sup>92</sup>. Jednak skuteczne środki antykoncepcyjne wciąż były towarem deficytowym, a te, które proponowano kobietom, narażały je często na utratę zdrowia. W 1959 r. zniesiono niemal całkowicie zakaz przerywania ciąży, obowiązujący w latach wcześniejszych. Do zmiany decyzji władz w tej kwestii przyczynił się m.in. wysoki przyrost naturalny i – co za tym idzie – wizja zapewnienia milionom nowych obywateli PRL miejsc pracy, mieszkań, itp.<sup>93</sup>

Innym, choć siostrzanym, problemem tamtych czasów były choroby weneryczne. Akcja „W” na dobre ruszyła w 1948 r., choć już w latach wcześniejszych podejmowano kroki w walce z chorobami przenoszonymi drogą płciową. Był to problem bardzo żywy w całym okresie PRL. W 1965 r. znaleźliśmy się na niechlubnym drugim miejscu w Europie – zaraz po Francji – pod względem częstotliwości zapadania na choroby weneryczne<sup>94</sup>. Niemalą wpływ na tę sytuację miała niska świadomość społeczna o chorobach takich, jak kiła czy rzeżączka, ale także rozluźnienie obyczajowości i zatrwajający brak profilaktyki. Często też ludzie po prostu wstydzili się iść ze swoimi chorobami do lekarza, zwłaszcza że zazwyczaj, z powodu nadmiaru pacjentów zgromadzonych w przychodniach, zachowanie tajemnicy lekarskiej było dosyć trudne. Sytuację tę doskonale obrazuje list czytelniczki z Częstochowy, opisujący warunki w jednej z tamtejszych przychodni okulistycznych. Chociaż na drzwiach gabinetu widniał napis, że pacjentów przyjmuje się pojedynczo, sami lekarze tego wymogu nie przestrzegali, „obsługując” czasem po trzech pacjentów jednocześnie. Autorka listu zastanawiała się nad sensem tajemnicy lekarskiej: „Przy tej gromadzie ludzi lekarz pyta pacjenta o wszystko, co mu potrzebne do postawienia diagnozy. Między innymi zapytuje się także, jakie pacjent przechodził choroby. Rzecz zrozumiała, że przy innych pacjentach prawie każdy opowie o chorobach »niewinnych« [...]. Zdarza się i tak, że pani doktor po zbadaniu chorego mówi wobec wszystkich [...] że choruje na oczy na skutek choroby wenerycznej. Kiedyś właśnie w mojej obecności wyraziła się w ten sposób do młodej dwudziestoletniej pacjentki”<sup>95</sup>.

Leczenie osób objętych ubezpieczeniem było bezpłatne. Jednakże często dochodziło do sytuacji, w których pacjenci sami musieli zadbać o swoje sprawy.

<sup>91</sup> *Załatwiono*, „Przyjaciółka” 1969, nr 27, s. 12.

<sup>92</sup> K. Kosiński, *Oficjalne i prywatne...*, s. 325.

<sup>93</sup> Więcej na temat seksu w PRL zob., *Kłopoty z seksem w PRL. Rodzenie nie całkiem po ludzku, aborcja, choroby odmienności*, red. M. Kula, Warszawa 2012.

<sup>94</sup> W. Kot, *PRL...*, s. 101.

<sup>95</sup> *O tajemnicy lekarskiej*, „Przyjaciółka” 1958, nr 12, s. 7.

Liczący 70 lat ojciec pani Danuty musiał mieć przetaczaną krew. Nikt z rodziny nie mógł jej oddać. Czytelniczce poradzono więc, by krew zakupiła: „Udałam się do stacji krwiodawstwa [...]. Z łatwością znalazłam studenta, który oddał krew dla mojego ojca. Zapłaciłam 500 zł. Dowiedziałam się, że przy stacji istnieje istna giełda i podbijanie cen. Mnie udało się kupić krew podobno »wyjątkowo« tanio”<sup>96</sup>. Małżeństwo z pewnej wsi pojechało z córeczką do przychodni lekarskiej. Pani doktor dziecko zbadała i wypisała receptę. Ponieważ rodzina nie była ubezpieczona, przy wyjściu matka dziecka zapytała, ile płaci. Usłyszała, że 20 zł, zapłaciła i pojechała do domu. Gdy przyjechała z córką na następną wizytę, dowiedziała się, że teraz miała zapłacić 50 zł: „Gdy spytałam się, dlaczego druga wizyta jest droższa, pani doktor zmieszała się i powiedziała: – To już będzie zapłacony następny raz”<sup>97</sup>. Inną kwestią było wręczanie lekarzom „kopert”, co było zjawiskiem nagminnym.

Także pacjenci, którzy już znaleźli się w szpitalach, często narzekali. Jedna z czytelniczek, leżąca w łódzkim szpitalu napisała do „Przyjaciółki” list, w którym żaliła się nie na lekarzy, ale na odwiedzających: „już tych odwiedzin wytrzymać nie mogę! Przez nie wpadnę w drugą chorobę. Do moich sąsiadek przychodzą całe rodziny nawet z dziećmi, przynoszą jedzenie, czasem i wódkę, piją po kryjomu za zdrowie chorej, palą papierosy. Zachowują się głośno, nie licząc się ze stanem zdrowia pozostałych chorych. Siadają na moim łóżku. W małej salce po chwili jest tak duszno, że robi się słabo. Gdy zbliża się 18.00, wszystkie z ulgą oddychamy, że te odwiedziny już się skończyły...”<sup>98</sup>.

Z lektury listów nadsyłanych do „Przyjaciółki” wynika, że czytelnicy najczęściej niezadowoleni byli z usług dentystycznych. Stan uzębienia obywateli PRL był zły, żeby nie powiedzieć katastrofalny, choć sytuacja w omawianym okresie była i tak zdecydowanie lepsza niż tuż po zakończeniu wojny. Wystarczy obejrzyć fragmenty np. Polskiej Kroniki Filmowej, żeby przekonać się o skali braku higieny jamy ustnej ówczesnych obywateli. Wpływ na tę sytuację miała przede wszystkim fatalna profilaktyka, a raczej jej brak, i źle wyposażone gabinety dentystyczne. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęto stosować na wsiach na szerszą skalę leczenie dentystyczne, a sposobem na uzdrowienie było po prostu wyrwanie zębów – tylko w 1966 r. usunięto ich prawie 3 miliony<sup>99</sup>. Panią Janinę ze Skiernewic do Spółdzielni Dentystycznej – jak pisała – „zwabił” jeden z lekarzy, który obiecał jej szybko, tanio i solidnie wyleczyć zęby i wstawić nową protezę. Rzeczywiście, po pierwszej wizycie czytelniczka była zadowolona, ale następnym razem nie było już tak miło, tanio i bezboleśnie, jak obiecywał dentysta. Dodatkowo jego usługi z wizyty na wizytę były coraz droższe. W końcu lekarz przystąpił do robienia protezy. Pani Janina nie mogła zliczyć, ile razy chodziła do niego na pomiar: „W końcu doczekałam się dnia, w którym obiecano mi oddać bezbłędną protezę. Okazało się jednak po półgodzinnym przymierzaniu, po silnym bólu i wierceniu protezy na wszystkie strony, że zaszła pomyłka – proteza nie jest moja, gdyż

<sup>96</sup> *List o handlu krwią*, „Przyjaciółka” 1960, nr 43, s. 12.

<sup>97</sup> *Sprawa do wyjaśnienia*, „Przyjaciółka” 1961, nr 20, s. 7.

<sup>98</sup> *Porozmawiamy*, 1970, nr 40, s. 12.

<sup>99</sup> W. Kot, *PRL...*, s. 101.

w żaden sposób nie pasuje”<sup>100</sup>. Na – tym razem – swoją protezę czytelniczka czekała ponad rok. Także jedna z mieszanek podolsztyńskiej wsi miała kłopoty z protezą zębową. Wprawdzie czekała na nią nieco krócej niż pani Janina, ale spotkała się z równie niemiłym, a w dodatku z niedouczonym dentystą. Mianowicie, autorka listu zapłaciła „słone pieniądze” za nową protezę. Okazało się jednak, że „dolna szczeka wylatuje, nie trzyma się”<sup>101</sup>. Kiedy udała się do olsztyńskiego dentysty, ten powiedział, że niedogodności te były chwilowe i że wypadanie wkrótce ustąpi. Kiedy sytuacja się nie zmieniała, czytelniczka ponownie udała się do niego, ale lekarz nie chciał z nią rozmawiać i wyprosił ją z gabinetu.

## Alkohol

Niebagatelny wpływ na stan zdrowia ludzi ma alkohol. Jednak w czasach Polski Ludowej problem alkoholizmu rozwinął się na tak dużą skalę, że władze nie bardzo umiały sobie z nim poradzić. Rzeczywiście na polskich ulicach – zwłaszcza w dniu wypłaty – nie brakowało obywateli w stanie „wskazującym na spożycie”. Kwestia ta często była poruszana na łamach „Przyjaciółki”, a publikowane dramatyczne nierzadko listy stanowiły 8,5 proc. wszystkich poddanych analizie. Spożywanie alkoholu w czasach PRL było normą, niezależnie od tego czy robiono to w domu, w pracy czy na ulicy. Powodów tego zjawiska było wiele. Można upatrywać ich głęboko w psychice ludzkiej, można też zaryzykować stwierdzenie, że był to rodzaj odskoczni od szarej rzeczywistości. Co więcej, wydaje się, że im gorzej się działo w naszym kraju, tym pijaństwo szerzyło się bardziej, choć wielu jest zdania, że tak znaczne spożycie alkoholu świadczy o zamierzonym rozpijaniu społeczeństwa, tym bardziej że budżet państwa był uzależniony w dużej mierze od wpływów monopolowych. Można też śmiało zaryzykować stwierdzenie, że w czasach PRL picie było najpopularniejszą formą spędzania wolnego czasu. Krzysztof Kosiński w *Historii pijaństwa w czasach PRL* powołuje się na bardzo ciekawe wyniki badań OBOP z lat 1958–1960, z których wynika, że ok. 25 proc. dorosłych mieszkańców miast nie potrafiło zorganizować sobie wolnego czasu<sup>102</sup>. Z całą pewnością duży wpływ na plagę pijaństwa miało też powszechne przyzwolenie oraz stosunkowo łatwa dostępność alkoholu. Pomimo licznych akcji propagandowych, podejmowanych przez komunistyczne władze (umieszczanie na budowach rymowanek typu *Jestem osłem co się zowie; piję wódkę na budowie*, propagandowe filmy antyalkoholowe zamieszczane w kronikach filmowych) problem pijaństwa stale narastał. Przedstawiciele władz winą za taki stan rzeczy obarczali II Rzeczpospolitą, a także okupanta, który miał rozpijać polskie społeczeństwo. Komuniści nie robili jednak prawie nic, by zapobiegać alkoholizmowi, a społeczeństwo niestety przykład brało również z góry, choć podobno sam Władysław Gomułka był alkoholowym ascetą<sup>103</sup>.

<sup>100</sup> *Obiecanki cacanki*, „Przyjaciółka” 1958, nr 42, s. 12.

<sup>101</sup> *Nieuczciwie i niegrzecznie*, „Przyjaciółka” 1959, nr 14, s. 12.

<sup>102</sup> K. Kosiński, *Historia pijaństwa w czasach PRL*, Warszawa 2008, s. 453.

<sup>103</sup> *Ibidem*, s. 59.

Z powodu pijaństwa cierpiały przede wszystkim dzieci i żony alkoholików i właśnie te ostatnie najczęściej szukały pomocy w „Przyjaciółce”. Przepisy, które dopuszczały na przykład wypłacanie zasiłku bezpośrednio na ręce żony alkoholika, w przeważającej liczbie przypadków pozostawały martwe<sup>104</sup>. Prawdziwą zmurą było także nielegalne wytwarzanie i sprzedaż alkoholu z niewiadomego źródła.

Alkoholu nadużywali przeważnie mężczyźni. Jego konsumpcja do 1964 r. wzrosła do ok. 4,1 litra czystego spirytusu na jednego mieszkańca<sup>105</sup>. W późniejszych latach wskaźnik ten jeszcze się podnosił. Nadużywanie alkoholu niejednokrotnie było przyczyną różnych patologii i dramatów rodzinnych, nierzadko także rozpadu rodziny. Alkoholicy, którzy dręczyli swe żony, najczęściej pozostawali bezkarni. To maltretowane rodziny musiały dopasować się do ich stylu życia. Czasem jednak same żony broniły swych mężów, a wiązało się to z ogólnym przyzwoleniem na picie alkoholu.

W jednym z numerów „Przyjaciółki” redakcja zamieściła obszerny artykuł pod tytułem *Męczennice*. Opisano w nim losy kilku kobiet, które żyły z mężami alkoholikami. Już sam tytuł dobrze oddaje charakter artykułu. Czytelnikom przedstawiono kilka historii – wyraźnie uderzała bezradność żon, które często same dawały współmałżonkom pieniądze na wódkę<sup>106</sup>. Wiele kobiet w PRL przeżywało w związku z alkoholizmem swojego partnera prawdziwą mękę i w zasadzie były one często pozostawione same sobie. Prowadzone kampanie antyalkoholowe, plakaty, kroniki, gazety (np. ukazujące się od 1955 r. czasopismo „Zdrowie i Trzeźwość”) tak naprawdę nie przynosiły wymiernych skutków. Rzadko która kobieta, w tamtych czasach – zwłaszcza w środowiskach wiejskich – decydowała się na rozwód z mężem pijakiem. Niektóre uważały to za wstyd i wołały się męczyć w beznadziejnych związkach, pozwalając, by męczyły się też dzieci.

Bardzo często, jak pokażą kolejne listy, kobiety podkreślały, że ich mężowie byli wspaniali, a winę za ich pijaństwo ponosił każdy, tylko nie oni. Jak pisała pewna żona, jej współmałżonek był zawsze dobrym człowiekiem, dopóki nie spotkało go prawdziwe nieszczęście. Tym „nieszczęściem” był awans. Zaczął on więcej zarabiać, ale pieniądze te systematycznie przepijał i urządzał awantury. Chociaż czytelniczka przyczyn pijaństwa szukała w awansie, postanowiła odejść od męża, który wprawdzie awansu został pozbawiony, ale nadal dużo pił. Pan Bolesław szybko znalazł sobie inną pracę, pił nadal, a żonie i dzieciom nie wypłacał ani grosza. Zdesperowana autorka listu napisała do dyrekcji męża pismo, w którym prosiła o „zajęcie się jej losem”, gdyż pozostawiona była bez środków do życia. Do mieszkanki kobiety przybyła wprawdzie komisja, „ale zamiast mi pomóc – dziwili się tylko, że piszę na męża listy psujące mu opinię w pracy”<sup>107</sup>. Jedna z czytelniczek korespondowała z „Przyjaciółką” przez cały rok. Jej mąż

<sup>104</sup> Rozporządzenie Ministra Pracy i Opieki Społecznej z dn. 16 I 1948 r. o warunkach nabywania uprawnień do zasiłku rodzinnego, Dz.U. 1948, nr 4, poz. 30. Tak było na przykład z rozporządzeniem w sprawie punktów sprzedaży alkoholu w miastach i osiedlach do 5 tys. mieszkańców, w których to mógł znajdować się nie więcej niż jeden punkt sprzedaży (Rozporządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego z dn. 28 V 1960 r., Dz.U. 1960, nr 28, poz. 162).

<sup>105</sup> K. Kosiński, *Oficjalne i prywatne życie...*, s. 268.

<sup>106</sup> *Męczennice*, „Przyjaciółka” 1958, nr 21, s. 5.

<sup>107</sup> *Są takie rodziny*, „Przyjaciółka” 1959, nr 11, s. 11.

był nałogowym alkoholikiem, a kobieta i jej dzieci miały ciężki los. Mąż stale urządzał awantury, przepijał pieniądze, bił ją i dzieci. Przez wiele miesięcy redakcja tygodnika wysyłała do kobiety słowa pocieszenia, a także informacje o tym, jakie podjęto środki, by rodzinie pomóc. Dzięki „Przyjaciółce” sprawą alkoholika zajęło się wielu ludzi, aż w końcu specjalna komisja skierowała go na przymusowe leczenie. Po pewnym czasie jednak czytelniczka znów napisała list, w którym uzalała się, że jej męża nie było już w domu od miesiąca (bo przebywał na leczeniu), że jej synek strasznie tęsknił się za tatusiem i czy można już przerwać leczenie. „Przyjaciółka” natychmiast odpisała, że miesiąc to za krótki okres, by męża wyleczyć, i by kobieta wraz z synem i tęskniącym wujkiem męża uzbroidli się w cierpliwość. Po dwóch tygodniach kobieta napisała do redakcji kolejny list: „Na prośbę wujka, który bardzo kocha siostrzeńca i na prośbę syna, któremu żal tatusia – ubłagałam lekarzy, by zwolnili męża do domu. Dwa dni był idealny. Teraz znów pije. Właśnie jest północ. Ze strachem czekam jego powrotu. Co będzie dalej? Co robić?”<sup>108</sup>. Jak napisano pod listem, była to jedyna korespondencja, na którą „Przyjaciółka” pozostała głucha: „I te inne, już zamężne, szlachetne męczennice. Nie żal im siebie, nie żal własnych dzieci. Żal im tyrana, gdy płacze z tęsknoty... do wódki”<sup>109</sup>.

Analiza listów o podobnej treści, których notabene w „Przyjaciółce” drukowano niemało, nasuwa kilka wniosków. Przede wszystkim niektóre kobiety, niejednokrotnie ofiary przemocy domowej, często wołały żyć z mężami alkoholikami, niż zdecydować się na rozwód<sup>110</sup>. Na takich decyzjach kobiet ważyły bardzo często względy finansowe i mieszkaniowe czy w końcu – religijne. Inną kwestią był, jak się zdaje, mało wówczas znany problem psychologiczny, mianowicie syndrom współzależnienia żony: „Alkoholizm jest zagadnieniem bardziej społecznym niż czysto lekarskim. Lecząc alkoholika, staram się jak najwięcej uwagi poświęcić jego żonie”<sup>111</sup>. Kobiety często mogły rzeczywiście tłumaczyć własnych mężów z bardzo różnych powodów: ze wstydu, strachu przed życiem w pojedynkę czy też po prostu ze swojej niewiedzy. Na łamach „Przyjaciółki” przedstawiano również czytelniczki, które uparcie wysyłały swych mężów na leczenie. Zazwyczaj jednak dawało to mierny skutek, gdyż po jego zakończeniu nikt nie nadzorował alkoholików, którzy prawie zawsze wracali do picia. Tak było m.in. w przypadku męża czytelniczki z woj. kieleckiego. Wprawdzie odbył on leczenie, ale po jego zakończeniu poradnia nie interesowała się jego dalszym losem: „przez nikogo nie był wzywany, ani kontrolowany, koledzy częstowali wódką, więc jakże im odmówić? [...] zaczął znów pić”<sup>112</sup>. Wprawdzie na mocy ustawy przeciwalkoholowej z 1956 r. powołano przy wydziałach zdrowia rad narodowych komisje społeczno-lekarskie, z którymi mieli współpracować tzw. opiekunowie społeczni, jednakże ich aktywność nie była zbyt duża<sup>113</sup>. Należy wspomnieć, że lista instytucji i orga-

<sup>108</sup> W *matni*, „Przyjaciółka” 1965, nr 34, s. 7.

<sup>109</sup> *Ibidem*.

<sup>110</sup> Od połowy lat sześćdziesiątych liczba rozwodów zaczęła wyraźnie wzrastać i w przeliczeniu na 1000 osób wyniosła w 1965 r. – 0,8 (K. Kosiński, *Oficjalne i prywatne...*, s.270).

<sup>111</sup> Fragment rozmowy z dr Dorotą Soszyńską, „Przyjaciółka” 1970, nr 27, s. 5.

<sup>112</sup> O *wódce i bimbanii*, „Przyjaciółka” 1962, nr 46, s. 12.

<sup>113</sup> K. Kosiński, *Historia pijactwa w czasach PRL...*, s. 299.

nizacji powoływanych w celu walki z pijaństwem była dość długa, niemniej ich działania nie dawały z wielu powodów należytego rezultatu.

Pito nie tylko w domach, ale także często w pracy. Jeden z górników opisał „Przyjaciółce”, w jaki sposób u niego w kopalni rozdzielano premie. Oddział, w którym pracował czytelnik, za dobre wyniki w pracy otrzymał do rozdysponowania dosyć sporą premię. Zamiast jednak rozdzielić ją sprawiedliwie na wszystkich pracowników, część załogi wymyśliła, że zorganizuje za te pieniądze zabawę. Rzeczywiście, w stołówce zakładu pracy wkrótce ją urządzono, ale jak donosił górnik, tylko dla pijących: „Na jedną osobę wypadło po ćwierć litra wódki, butelka piwa, pudełko papierosów oraz porcja kielbasy z chlebem. Po kilku godzinach musiano wezwać milicję [...]. W sali zaś pozostały porozbijane stoły i krzesła. Teraz nie ma komu zapłacić za zniszczenia”<sup>114</sup>. Pijaństwo w czasie pracy często było przyczyną wypadków, brakoróbstwa, bijatyk, niegospodarności i braku dyscypliny. Okazji do wypicia było wiele, m.in. imieniny współpracowników, wspomniane premie, przestoje w pracy. Podobnie wiele było przyczyn pijaństwa, wśród których na pierwsze miejsce wysuwało się lekceważenie „mienia państwowego” jako niczyjego<sup>115</sup>, narastające poczucie frustracji, beznadziejności, a także chęć uzyskania różnych korzyści („załatwienie” sprawy przez alkohol) czy wreszcie presja otoczenia. Należy w tym miejscu podkreślić, że pili nie tylko robotnicy, lecz także inteligencja.

Pijaństwo szerzyło się zarówno w miastach, jak i na terenach wiejskich. „Stała Czytelniczka” tak pisała o zwyczajach panujących w jej rodzinnej miejscowości: „Jest taki zwyczaj, między innymi i u nas w Jadowie, że gdy rolnik sprzedaje krowę czy konia, musi to opić. Na »litkup«<sup>116</sup> zawsze trafi do knajpy, a w prywatnej zawsze wódki dostanie. A że później, jak żona nie doliczy się pieniędzy, jest w domu awantura, to już inna sprawa, to nikogo nie obchodzi”<sup>117</sup>. Także czytelniczki, które wybrały się na odpust do jednej z miejscowości, przekonały się o tym, że najpopularniejszym towarem była wódka: „Koło południa poczułyśmy głód [...], więc chciałyśmy kupić coś do zjedzenia w przyjezdnym bufecie. Była kielbasa. Poprosiłyśmy więc o nią. – Niestety – odpowiada sprzedawczyni – ale kielbasa jest tylko do wódki. – Jak to? – pytamy – A jeśli nie chcemy pić? – Nic na to nie poradzę, takie jest zarządzenie kierownika. Na rezultat tego zarządzenia nie trzeba było długo czekać. Już o drugiej po południu pełno było pijanych, bo bufetów z wódką było chyba z pięć”<sup>118</sup>. Natomiast pani Maria, pasażerka autobusu linii Warszawa–Łomża, była świadkiem następującej sceny. Na jednym z przystanków młody mężczyzna zaproponował żonie, że kupi jej piwo dla ochłody, gdyż dzień był rzeczywiście upalny. Kiedy przyniósł jej butelkę, ta się napiła, a potem

<sup>114</sup> *Premia utopiona w wódce*, „Przyjaciółka” 1958, nr 20, s. 12.

<sup>115</sup> K. Kosiński, *Historia pijaństwa w czasach PRL...*, s. 520.

<sup>116</sup> Litkup – w średniowiecznym prawie polskim uczta, poczęstunek potwierdzający, umacniający i gwarantujący nienaruszalność zawartej umowy. Dopiero po jego odbyciu umowa była uważana za nienaruszalną i rodzącą zobowiązania stron. Zwyczaj ten w niektórych częściach kraju przetrwał do naszych czasów i w dalszym ciągu stosuje się go przy transakcjach kupna–sprzedaży, zwłaszcza o większych wartościach, uważając, że poczęstunek z alkoholem jest gwarancją pomysłnej transakcji.

<sup>117</sup> *Złe zwyczaje*, „Przyjaciółka” 1959, nr 16, s. 11.

<sup>118</sup> *Tylko do wódki*, „Przyjaciółka” 1959, nr 40, s. 11.

przystawiła ją do ust swej małej córeczki: „dopiero na moją uwagę, że piwo zawiera alkohol i jest bardzo szkodliwe dla młodego organizmu dziecka, matka cofnęła butelkę. Ojciec jednak był wyraźnie nieprzekonany i oznajmił, że »trochę – to nie zaszkodzi«<sup>119</sup>. O „Barze Wiejskim”, zwanym przez miejscową ludność „Mordownią”, pisała jedna z czytelniczek ze Stargardu: „Konsumpcja odbywa się na stojąco – wśród piętrzących się pod sam sufit wódczanych skrzynek. Bardziej zmęczeni lub ogarnięci snem goście odpoczywają gromadnie na brudnej posadzce. Inni – będący w pilnej potrzebie, załatwiają te potrzeby od razu... pod ścianą (!)”<sup>120</sup>.

Kawiarnię „Ludową”, która mieściła się w Częstochowie, nazywano „Meksykiem”. Wprawdzie czytelniczka, opisująca panujące w niej warunki, w prawdziwym Meksyku nigdy nie była, to jednak nie wydawało się jej, by było tam podobnie: „Chciałam tam wstąpić wczesnym wieczorem, bo z zewnątrz kawiarnia prezentuje się ładnie, ale jeszcze pręcej niż weszłam, wyszłam stamtąd. Odrapany, brudny lokal oraz liczne zapijaczone towarzystwo wcale nie zachęcały do korzystania z usług »Ludowej«<sup>121</sup>. W Lublinie z kolei znajdował się lokal o sympatycznej nazwie „Ptyś”, nazywany przez autorów listu „Mordownią”. Mieścił się on na ul. 1 Maja, a lokatorzy pobliskich domów mieli z tego powodu same kłopoty. Postanowili więc napisać do redakcji list, prosząc o pomoc: „Sąsiadujące z tą knajpą bramy i klatki schodowe są stale zanieczyszczone, bo bywalcy baru załatwiają tu swoje potrzeby. Na pijackie awantury patrzą nasze dzieci, a spokojni przechodnie narażeni są na zaczepki. Czy nie należałoby wreszcie zamknąć tej ordynarnej spelunki – powodu wielu ludzkich nieszczęść?”<sup>122</sup>. Na skutek interwencji „Przyjaciółki” zamknięto melinę „Pod gruszą”, którą zorganizował pewien kierownik sklepu z Zabrza: „W cieniu rozłożystej korony urządził melinę pijacką i spelunkę gier hazardowych. [...] Libacje odbywały się przeważnie w okresie letnim, natomiast w porze chłódów i zimy biesiadnicy korzystali z udostępnionego im przez kierownika pomieszczenia w kotłowni”<sup>123</sup>.

## Bubel

Jedną z głównych bolączek omawianego okresu – przynajmniej z konsumpcyjnego punktu widzenia – były buble. Jak słusznie zauważyła w swej pracy Małgorzata Mroczkowska, słowo to w okresie PRL zrobiło prawdziwą karierę<sup>124</sup>. Było to wyrażenie na tyle popularne, że znalazło nawet wyjaśnienie w *Słowniku wyrazów obcych*, w którym czytamy, że buble to „*pot.* towary niepokupne, niemodne, często złej jakości, zalegające długo półki sklepowe”<sup>125</sup>. Problem niepełnowartościowych towarów był żywy w całym okresie PRL. Polacy uskarżali się głównie na rozlatujące się buty i psujące się sprzęty gospodarstwa domowego. Listy o bub-

<sup>119</sup> *Piwo dla... malutkiej*, „Przyjaciółka” 1960, nr 40, s. 8.

<sup>120</sup> *Skończyć z „Mordownią” w Stargardzie*, „Przyjaciółka” 1961, nr 5, s. 12.

<sup>121</sup> „Meksyk”, „Przyjaciółka” 1963, nr 25, s. 5.

<sup>122</sup> „Ptyś”, „Przyjaciółka” 1965, nr 7, s. 10.

<sup>123</sup> *Melina „Pod gruszą”*, „Przyjaciółka” 1969, nr 11, s. 12.

<sup>124</sup> M. Mroczkowska, *Listy do „Przyjaciółki”...*, s. 13.

<sup>125</sup> *Słownik wyrazów obcych* PWN, red. J. Tokarski, Warszawa 1980, s. 96.

lach są dla współczesnych czytelników niezwykle zabawne<sup>126</sup>, ale warto pamiętać o tym, że dla Polaków żyjących w komunistycznej Polsce buty rozlatujące się na środku ulicy nie były powodem do śmiechu, szczególnie w sytuacji, w której zakup pewnych towarów był bardzo trudny. O skali tego zjawiska niechaj świadczy fakt, że listy o bublach stanowią aż 29 proc. ogółu badanych. Do tej kategorii zaliczono nie tylko niezdatne do użytku towary przemysłowe, lecz także braki odpowiednich sklepów czy artykułów oraz nieuprzejme ekspedientki. W całym okresie PRL sklepowy asortyment był bardzo ubogi<sup>127</sup>. Bardzo często na polskim rynku brakowało wystarczającej ilości artykułów spożywczych, a jeżeli już jakieś towary pojawiały się w sklepach, to klient musiał bacznie się im przyglądać, gdyż wiele z nich nie nadawało się do konsumpcji.

W jednym z numerów „Przyjaciółki” niezadowolona pani Gertruda skarżyła się na niewystarczającą ilość margaryny mlecznej w sklepach. Pisała, że produkt ten był wprawdzie szeroko reklamowany w gazetach, ale prawie nigdzie nie dało się go kupić. Czytelniczka podawała więc w wątpliwość sens takich reklam: „Jeżeli margaryny mlecznej nie ma jeszcze w kraju pod dostatkiem, to po cóż więc nawoływać i zachęcać do używania jej? Myślę, że jeżeli margaryny jest za mało, to należałoby podzielić ją tak, aby każdy powiat otrzymał jej choć trochę, żeby od czasu do czasu można ją było kupić”<sup>128</sup>. Pani Daniela donosiła „Przyjaciółce”, że chleb wypiekany w jedynej w jej wsi piekarni daleki był od ideału: „chleb i bułki są niedopieczone, a często prawie surowe. W dodatku co pewien czas spotykamy w pieczywie kawałki sznurka i inne śmiecie. Nie tak dawno w dwukilowym bochenku znalazłam robaka”<sup>129</sup>. Także czytelnicy z Oświęcimia donosili, że mieli parokrotnie wątpliwą przyjemność znalezienia w chlebie karalucha<sup>130</sup>. Z kolei pani Bernadeta z Kalisza omal nie straciła zęba, jedząc czekoladki: „Okazało się, że był tam kawałek ołowiu, który załączam do listu. Czekoladki są sprzedawane na eksport i tego rodzaju »towar« może odstraszyć naszych zagranicznych klientów”<sup>131</sup>.

Często także ubrania były produktami o nie najlepszej jakości, a rozpadające się przy pierwszym założeniu buty obrosły już prawdziwą legendą. Autorka listu z Wałbrzycha narzekała na brak bielizny trykotowej. Chociaż od kilku miesięcy szukała po sklepach właśnie takiej, nigdzie nie mogła jej kupić. Wprawdzie na rynku dostępna była odzież nylonowa i stylonowa, to jednak – jak pisała – większość kobiet nie mogła sobie na nią pozwolić. Czytelniczka krytykowała rodzimy handel: „Tymczasem u nas w handlu przyjęła się zasada, że jeśli jest jeden rodzaj bielizny, to nie ma innego i na odwrót”<sup>132</sup>. Podobny problem zgłaszała mieszkanka Tychów. Także tam można było bez problemów kupić bieliznę nylonową, natomiast brakowało trykotowej. Jak wyjaśniała kobieta, nylonowa była

<sup>126</sup> O najzabawniejszych zjawiskach z czasów realnego socjalizmu, w tym o jakości konsumpcji w PRL pisał m.in. M. Rychlewski, *Absurdy PRL-u – antologia*, Warszawa 2008.

<sup>127</sup> Szerzej o przyczynach tej sytuacji zob. P. Wiczorkiewicz, J. Błażejowska, *Przez Polskę Ludową na przelaj i na przekór*, Poznań 2011.

<sup>128</sup> *Czy margaryny jest za mało?*, „Przyjaciółka” 1958, nr 7, s. 7.

<sup>129</sup> *Chleb z robakiem*, „Przyjaciółka” 1959, nr 50, s. 10.

<sup>130</sup> „Naukowcy”, „Przyjaciółka” 1965, nr 24, s. 10.

<sup>131</sup> „Słodki skandalik”, „Przyjaciółka” 1961, nr 14, s. 7.

<sup>132</sup> *Dlaczego tylko z nylonu?*, „Przyjaciółka” 1958, nr 8, s. 14.

droga i można ją było nosić jedynie latem: „Ale niech kto spróbuje kupić bieliznę trykotową! Już po pierwszym dniu szukania przekona się, że nabycie ciepłych reform czy koszuli – jest niemożliwe”<sup>133</sup>. O fartuchach szkolnych bardzo złej jakości pisała pani Elżbieta z Warszawy. Fartuchy jej dzieci nie doczekały nawet końca roku szkolnego, bo bardzo szybko się zniszczyły. Toteż autorka listu na łamach tygodnika zwracała się do zakładów je produkujących: „Uważam, że zakłady konfekcyjne powinny wybierać na fartuchy szkolne materiał mocniejszy, bo wiadomo, że dzieci szybciej niszczą ubrania niż dorośli, tym bardziej że fartuchy noszą codziennie”<sup>134</sup>.

Na brak kubków i filizanek do kawy skarżyła się pani Barbara. W swym liście donosiła, że w sklepach były dostępne jedynie drogie serwisy: „Talerzy tańszych też nie ma. W czym podawać obiad? Łyżki są, ale nabierać z garnków też nie wiadomo czym. Ani łyżek wazowych, ani kubków do czerpania wody z beczki (bo u nas kranów nie ma...), ani dzbanków aluminiowych, czy też emaliowanych. Wiadra w sklepie są tylko małe”<sup>135</sup>. Mieszkanka wsi pod Poznaniem żaliła się na niedobór towarów. W jej wsi brakowało materiałów na ubrania, garnków, lamp naftowych, węgla i wielu innych artykułów: „Brak u nas latarek kieszonkowych. Brak... Mogłabym długo jeszcze wyliczać i chyba bym tego listu nigdy nie skończyła. Czy nie ma na to rady, czy to słuszne, że małe miasteczka są traktowane po macoszemu?”<sup>136</sup>. Z lektury innych listów wynika, że artykułem najbardziej „deficytowym” były przede wszystkim talerze i garnki. Pani Regina skarżyła się, że wychodząc za mąż, nie dostała od matki ani jednego talerza. Czytelniczce nie chodziło wcale o to, że jej rodzicielka była skąpa, lecz o to, że nie mogła ona zakupić nigdzie tych artykułów i jak pisała zmartwiona pani Regina: „sama ma w domu cztery talerze na sześć osób. Traktuje się więc je (talerze, nie osoby) jak cenne pamiątki rodzinne”<sup>137</sup>. W dalszej części listu czytelniczka opisywała swe marzenia: „Marzeniem niektórych kobiet jest być pierwszymi pasażerkami rakiety na Księżyc. – Ale ja mam bardziej przyziemne marzenia. Na przykład gdzieś kupić fajansowy talerz. Na razie radzimy sobie w ten sposób, że obiad stawia się na stół malowniczo: barszcz w rondlu, a ziemniaki na pokrywce od garnka”<sup>138</sup>.

Psujące się sprzęty gospodarstwa domowego były prawdziwą zmorą gospodyń domowych. Wprawdzie nie był to jeszcze czas wybuchających telewizorów pewnej radzieckiej marki, to jednak dymiące pralki i grzejące lodówki były na porządku dziennym. Przyczyn takich sytuacji było wiele. Jakości wytwarzanych towarów nie sprzyjał pośpiech, który był potrzebny, aby wyrobić coraz większe normy. Sytuacji nie poprawiał również niedobór materiałów służących do produkcji danego towaru i stosowana na szeroką skalę polityka oszczędnościowa – kładziono nacisk nie na jakość, ale na ilość wyprodukowanych sprzętów. Czytelniczka z Torunia donosiła „Przyjaciółce”, że niedawno stała się szczęśliwą posiadaczką pralki elektrycznej. Niestety, już po drugim praniu kocioł w pralce zaczął przeciekać. To jednak nie było najgorsze, gdyż mąż torunianki szybko sobie

<sup>133</sup> *O trykotach bez zmian*, „Przyjaciółka” 1959, nr 1, s. 10.

<sup>134</sup> *W sprawie rękawów*, „Przyjaciółka” 1960, nr 17, s. 7.

<sup>135</sup> *Dlaczego tylko serwisy?*, „Przyjaciółka” 1959, nr 1, s. 12.

<sup>136</sup> *Nie ma u nas...*, „Przyjaciółka” 1959, nr 3, s. 10.

<sup>137</sup> *Talerze – ale nie latające*, „Przyjaciółka” 1959, nr 12, s. 9.

<sup>138</sup> *Ibidem*.

z tym defektem poradził. Autorka listu miała inny problem. Okazało się, że pasek klinowy, łączący silnik z wirnikiem, bardzo się rozciągnął i uniemożliwiał dalsze działanie sprzętu. I znów zaradny małżonek chciał pralkę naprawić, wymieniając pasek. Okazało się jednak, że akurat takiego nie było w sprzedaży. Pozostawało więc oddać pralkę do serwisu naprawczego. I tu nie obyło się bez kłopotów: „Na razie pralka nasza jest nieużyteczna, bo punktów usługowych, które by ją zreperowały, też nie ma”<sup>139</sup>. Czytelniczce pozostała jedynie świadomość, że pralkę elektryczną ma, inną sprawą było, że nie może z niej korzystać.

Podobny problem miała także Irena z Sanoka – świeżo upieczona właścicielka pralki elektrycznej. Długo z niej nie korzystała, gdyż podczas prania wydobywały się z niej kłęby duszącego dymu. Autorka listu zgłosiła reklamację i wkrótce do jej domu zawitał przedstawiciel firmy: „»pocieszył« mnie, że jest wada w motorze i że z tą samą wadą kupiło pralki w woj. rzeszowskim... 150 ludzi. Następnie stwierdził, że motor nie jest jeszcze spalony, a jak się spali, to mi mogą sprzedać nowy za 760 zł”<sup>140</sup>. Pod listem pani Ireny zamieszczono także skargę innej czytelniczki. Jak donosiła ona „Przyjaciółce”, zakupiła do swego mieszkania łóżka, które nie nadawały się do użytku: „Są zalepione kitem, zamalowane, więc wszystko pęka i każda deska się oddziela. [...] Mam łóżka, a nie mam na czym spać i nie wiem nawet, co z nimi robić: czy zbijać je gwoździami, czy szukać prywatnej firmy, która by je złożyła od nowa?”<sup>141</sup>.

Natomiast pan Alfred z Chorzowa stał się posiadaczem lodówki, która jednak po pewnym czasie zaczęła... grzać zamiast chłodzić. Czytelnik zgłosił reklamację do odpowiedniego serwisu i wkrótce do jego drzwi zapukał pracownik zakładu „Arged”, który zabrał lodówkę do naprawy, zostawiając pokwitowanie. Tak upłynął miesiąc i w końcu zniescierpliwiony pan Alfred udał się osobiście do „Argedu”. Tam jednak spotkała go niemiła niespodzianka, gdyż pracownicy na oczy nie widzieli zepsutej lodówki pana Alfreda. Okazało się, że sprzęt odbierał nie mechanik, lecz szofer, który tłumaczył się, że lodówkę ukradli nieznani napastnicy, którzy dodatkowo zrabowali portfel szofera. Ten jednak nie powiadomił milicji o rzekomej kradzieży. Uczynił to zatem pan Alfred, który jednak pozostawał bez lodówki: „I co ja mam zrobić? Kupić nową lodówkę? Nonsens. Mam przecież niekwestionowane przez nikogo pokwitowanie »Argedu«, który jest chyba odpowiedzialny za niesolidność swoich pracowników”<sup>142</sup>.

Jedna z czytelniczek podarowała swym starszym już rodzicom radio, o którym od dawna marzyli. Tego samego wieczora zaczęły dochodzić z niego dziwne trzaski. Po upływie trzech dni odbiornik już całkiem przestał działać. Matka autorki listu udała się do sklepu z reklamacją. Tam poradzili jej, by pojechała z radiem do Krakowa: „Pojechała. Zapłaciła jeszcze koszty podróży i 70 zł znajomemu za to, że zawiózł radio. Po trzech tygodniach wróciło do domu rzekomo zreperowane. Grało wszystkiego dwa dni i przestało. Nie gra do dzisiaj”<sup>143</sup>.

<sup>139</sup> Jeszcze jedna pralka, która nie pierze, „Przyjaciółka” 1958, nr 48, s. 7.

<sup>140</sup> „Dekoracyjne” pralki i łóżka, „Przyjaciółka” 1959, nr 37, s. 8.

<sup>141</sup> *Ibidem*.

<sup>142</sup> ...a lodówki wciąż brak?, „Przyjaciółka” 1960, nr 49, s. 5.

<sup>143</sup> Nieudany „Czardasz”, „Przyjaciółka” 1959, nr 24, s. 12.

Natomiast pani Stanisława zakupiła dla swego dziecka wózek dziecięcy marki „Miś”. Krótko się nim cieszyła, bo: „już na pierwszym spacerze obłamał się z jednej strony pręcik podtrzymujący oparcie, a potem zaczęły się inne nieszczęścia. Pękła śrubka, którą przykręcane są kółka, odłamał się z drugiej strony pręcik podtrzymujący oparcie, pękły obie śrubki, którymi była przykręcona rączka, obłamały się dwie blaszki podtrzymujące rączkę. Po siedmiu spacerach wózek ten, gdybym go nie remontowała, nadawałby się chyba tylko na złom. W koszty remontu wózka włożyłam 220 zł”<sup>144</sup>.

Inna czytelniczka miała kłopot z maszyną do szycia. Kiedy przyniosła ją po zakupie do domu, okazało się, że maszyna nie szyła. Kobieta reklamowała produkt, na nowe urządzenie czekała „zaledwie” trzy miesiące, a gdy go odebrała, okazało się, że nowa maszyna wcale nie była lepsza od poprzedniej: „Czy po to się wydaje tyle pieniędzy, żeby maszyna stała w domu bezużytecznie?”<sup>145</sup>.

O oponach firmy „Stomil”, które nie przetrwały nawet jednej mili, pisał do „Przyjaciółki” pewien miłośnik motoryzacji z Żyrardowa. Zakupił on najpierw jedną oponę, która zaraz pękła, potem drugą, trzecią i czwartą. Sytuacja za każdym razem była taka sama. „Piątej opony Czytelnik już nie kupił – po pierwsze nie miał już pieniędzy, po drugie – nie chciał ich wyrzucać w błoto”<sup>146</sup>.

Pani Stanisława z Rzeszowa podczas nieobecności dzieci w domu miała zamiar zrobić wreszcie porządek ze swoją zaniedbaną podłogą. Zakupiła więc lakier do podłóg z dołączoną butelką katalizatora, który należało dodać do lakieru. Prenumeratorka „Przyjaciółki” zrobiła wszystko zgodnie z instrukcją, ale zamiast otrzymać ciecz, uzyskała galaretę. Pani Stanisława spróbowała nałożyć ją pędzelkiem na podłogę, ale „powstały tylko kluski i zacierki. Co z tym teraz uczynić? Może po dodaniu octu podać na stół w postaci galarety? A może znasz jakiś przepis na kraszenie takich drogich klusek i zacierek?”<sup>147</sup>.

Czytelniczka z Katowic żaliła się „Przyjaciółce”, że chociaż zamówiła z księgarni wysyłkowej książkę o ziołach leczniczych, przysłano jej inną, traktującą o wychowaniu seksualnym. Księgarnia najwidoczniej nie trafiła w gust katowiczanki, bo ta odesłała książkę, prosząc jednak o tę o ziołach leczniczych. Po trzech długich miesiącach przesyłka do niej nie dotarła. Ciekawy wydaje się komentarz redakcji: „Powszechna Księgarnia – to niedobrze! Po pierwsze dlatego, że »Wychowanie seksualne«, choć pozytywne, »Ziół leczniczych« nie zastąpi. A po wtóre... Z Warszawy do Katowic w ciągu trzech miesięcy przedstawiciel Powszechnej Księgarni zaszedłby chyba na piechotę”<sup>148</sup>.

Pani Nina z Ostrowa zakupiła szatkownicę. Szybko znaleźli się też sąsiedzi, którzy chcieli ją pożyczyć, a że autorka listu miała dobre serce, chętnie ją udostępniła. Jakież było jej zdziwienie, gdy po kilku dniach przyszli do niej z pretensjami (i z szatkownicą) sąsiedzi, którym pomalowany na czerwono sprzęt zabrudził całą kapustę. Pani Nina z tej historii wyciągnęła dwa wnioski. Po pierwsze, zanim zakupi jakiś sprzęt na polskim rynku, najpierw dokładnie go obejrzy. Po

<sup>144</sup> *Wózek na złom*, „Przyjaciółka” 1959, nr 28, s. 9.

<sup>145</sup> *Kto wygra, kto przegra?*, „Przyjaciółka” 1959, nr 50, s. 5.

<sup>146</sup> „Stomil” nabija w butelkę, „Przyjaciółka” 1962, nr 3, s. 12.

<sup>147</sup> *O drogich kluskach*, „Przyjaciółka” 1962, nr 36, s. 5.

<sup>148</sup> *Nawet na piechotę...*, „Przyjaciółka” 1963, nr 5, s. 5.

drugie, będzie stale powtarzać sobie stare, dobre przysłowie: „Dobry zwyczaj, nie pożyczaj”<sup>149</sup>.

W czasach PRL bardzo popularne – zwłaszcza na wsiach – było zamawianie portretów rodzinnych, malowanych ze zdjęć przez wędrownych „artystów”. Taki portret zamówiła także czytelniczka z Hajnówki. Gdy odpakowała dostarczony obraz, bardzo się zdziwiła: „Na zamówionym portrecie rodzinnym zamiast chłopca wymalowano dziewczynkę, w dodatku bardzo brzydką, jak kukłę. Takiego paskudztwa nie można powiesić na ścianie. I co by ludzie powiedzieli. Reklamowałam, bo chciałam, żeby przemalowano dziewczynkę na chłopca, ale szukaj wiatru w polu, nie mam ani portretu, ani pieniędzy...”<sup>150</sup>.

Okazuje się jednak, że często to nie brak danego artykułu lub jego niestaranne wykonanie były największym kłopotem. Pani Teresa z Warszawy nadesłała list, w którym chwaliła się, że była szczęśliwą i młodą gospodynią. Miała tylko jeden problem, mianowicie robiąc zakupy, nie zawsze wiedziała, do czego dany produkt służył. Wpadła więc na pewien pomysł: „Czy nie można by obok ceny na karteczce napisać, do czego przedmiot służy i jak się nazywa? Na przykład maszynka do krojenia jajek, spiralka do ubijania piany?”<sup>151</sup>.

Czytelniczki w swych listach często opisywały kłopoty ze sprzedawczyniami. O ekspedientkach w PRL można dziś opowiadać godzinami. Faktem jest, że „panie sklepowe”, określane w handlowym żargonie czasów PRL jako „kierowniczki”, posiadały w sklepie władzę niemalże absolutną. Pani Halina z Warszawy pisała do „Przyjaciółki”, że zakupiła dla swej córki watoлинę do płaszcza. Wyraźnie powiedziała ekspedientce, że potrzebowała dwóch metrów i za tyle też zapłaciła. Gdy przysłała do domu, zmierzyła watoлинę i okazało się, że brakowało dziesięciu centymetrów: „Albo wędliny. Człowiek dostaje swoje 10 deka w papierze tak grubym i wielkim, że starczyłby do opakowania dwóch cegieł. A spróbuj, »Przyjaciółko«, zwrócić uwagę, narazisz się tylko na obraźliwą odpowiedź”<sup>152</sup>.

Natomiast pan Tadeusz spotkał na swej drodze nie tylko typowy bubel, lecz także niezwykle niemiłego kierownika sklepu. Kupił telewizor i przyniósł go do domu. Zauważył wtedy, że miał on wiele usterek, których nie dostrzegł w sklepie, m.in. nie działał przełącznik sieci, brak było w telewizorze wtyczek antenowych i jednej nóżki, a „złapanie” na nim obrazu okazało się niemożliwe. Do sklepu z reklamacją udała się żona pana Tadeusza, ale kierownik oświadczył jej jedynie, że telewizor dostał „chrypki” i należy go zreperować na własny koszt w serwisie. Tego dla czytelnika „Przyjaciółki” było za wiele. Udał się on wraz z telewizorem do sklepu, nie spodziewał się jednak tego, co go spotkało: „W sklepie dwie osoby z dyrekcji obejrzały telewizor i zaczęły mi wmawiać, że jest on zupełnie dobry! Ponieważ nie zgodziłem się z tym, oświadczone: »że będę żałował«. Czego – pytam się – wyrzuconych pieniędzy? Po tej groźbie zaplombowano telewizor i oświadczone mi, że komisynie będzie zbadany przez rzeczoznawcę”<sup>153</sup>.

<sup>149</sup> Z *Czarnego Łądu*, „Przyjaciółka” 1969, nr 45, s. 8.

<sup>150</sup> *Porozmawiajmy*, „Przyjaciółka” 1969, nr 48, s. 5.

<sup>151</sup> *Aby ułatwić zakup*, „Przyjaciółka” 1958, nr 37, s. 12.

<sup>152</sup> *Przymusowe premie*, „Przyjaciółka” 1959, nr 14, s. 7.

<sup>153</sup> *Pozaluje pan reklamacji*, „Przyjaciółka” 1961, nr 15, s. 12.

Pani Zofia z Radzymina powierzyła tamtejszej pralni jedyny sweter, jaki posiadała. W ciągu pięciu miesięcy (!) zwracała się do punktu dziewięciokrotnie z prośbą o jego zwrot. Stale słyszała jedną odpowiedź, że sweter był jeszcze niegotowy. W końcu okazało się, że sweter zaginął. Pani Zofia liczyła na przeprosiny i zwrot pieniędzy za sweter, którego przybliżona cena została zamieszczona na kwicie potwierdzającym oddanie ubrania do pralni. Nie dość, że czytelniczka nie doczekała się ani przeprosin, ani pieniędzy, to dodatkowo „pracownica punktu [...] wyгнаła klientkę z lokalu pralni, wykrzykując za nią różne niewersalskie propozycje”<sup>154</sup>.

Czytelnicy, którzy zakupili buble, rzadko kiedy mogli liczyć na odzyskanie pieniędzy. Sprzedawcy towarów w razie stwierdzenia usterki kierowali ich z reklamacjami bezpośrednio do producenta. Odesłanie wadliwego towaru nie oznaczało wcale końca sprawy. Reklamacje albo nie były w ogóle uwzględniane, albo sprawy ciągnęły się długimi miesiącami. Do redakcji „Przyjaciółki” w 1965 r. przysłano paczkę, w której znajdowały się dziecięce rajtuzki z wieloma dziurami. Pracownicy redakcji zdziwili się, że paczka trafiła do nich, a nie do producenta tego buble. Sytuację nieco wyjaśnił znajdujący się w paczce list. Napisała go pani Helena, która kupiła rajtuzki dla córki. Już po pierwszym założeniu niemilosiernie się one porwały. W sklepie nie uwzględniono reklamacji, bo sprzedawca nie czuł się w obowiązku odpowiadać za byle jakie wyroby producenta. Niestety, na metce nie było nazwy ani adresu firmy, która wypuściła na rynek taki bubel. Pani Helena przesała do redakcji ten „towar”, by zwrócić uwagę na problem braku ochrony konsumentkich interesów<sup>155</sup>.

Z kolei pacjent sanatorium w Kołobrzegu chciał przywieźć synkowi jakiś prezent. Kupił więc w tamtejszym kiosku „Ruchu” gumowego pingwina. Gdy po czterech dniach go odpakował, okazało się, że zabawka miała urwaną głowę. Czytelnik poszedł więc do kiosku z reklamacją. Tam jednak sprzedawca poinformował go, że reklamacji nie uwzględni bez pisemnej zgody dyrektora „Ruchu”. Kuracjusz udał się więc do siedziby dyrektora, lecz ten oświadczył, że „nie ma takich przepisów, które by mówiły o zamianie wadliwego artykułu. Ja zresztą tego towaru nie produkowałem”<sup>156</sup>.

Także pani Alfreda z Torunia, będąc na wczasach, zapragnęła zawieźć do domu jakąś pamiątkę. Za 40 zł zakupiła czekan z wmontowanym termometrem. Kiedy przybyła do domu, okazało się jednak, że „czekan wprawdzie czekanem pozostał, ale termometr ani rusz nie chciał wskazywać właściwej temperatury”<sup>157</sup>. Pani Alfreda czuła się oszukana i postanowiła napisać zażalenie do producenta. Ten, owszem, odpisał, ale treść listu nie wróżyła nic dobrego: „W odpowiedzi przeczytałam, że zajmuje się on wytwarzaniem laseczek czekanów, zaś termometr nic go nie obchodzi”<sup>158</sup>.

Listy o bublach są najliczniejszymi spośród korespondencji nadsyłanej w omawianym czasie do redakcji „Przyjaciółki”. Nie sposób przytoczyć ich wszystkich,

<sup>154</sup> Numer 522, „Przyjaciółka” 1965, nr 3, s. 12.

<sup>155</sup> *Reklamacja w sklepie*, „Przyjaciółka” 1963, nr 44, s. 11.

<sup>156</sup> *Pingwin z urwaną głową*, „Przyjaciółka” 1970, nr 14, s. 7.

<sup>157</sup> *Nabici w termometr*, „Przyjaciółka” 1970, nr 15, s. 9.

<sup>158</sup> *Ibidem*.

a szkoda, bo są one niezwykle interesujące. Czytelnicy najczęściej skarżyli się na psujący się sprzęt gospodarstwa domowego. Nawet dokładne obejrzenie artykułu w sklepie nie dawało pewności, że ten będzie właściwie działał po przyniesieniu do domu, a co gorsza rzadko kiedy można było liczyć na pomyślną reklamację. Nawet jeżeli już, to po długich utarczkach z nieprzyjemnym personelem lub producentem. Wprawdzie „Przyjaciółka” pomogła wielu czytelnikom w odzyskaniu pieniędzy za wadliwy towar, nie była jednak w stanie poradzić wszystkim. Do redakcji napływały stale setki listów od niezadowolonych klientów. W jednym z numerów „Przyjaciółki” na dwóch dużych stronach zamieszczono *Czarną listę brakorobów*. W artykule tym redakcja przytaczała kilkanaście krótkich fragmentów listów nadesłanych od rozczarowanych czytelników, którym „trafiły się buble”. I tak, czytamy o całej masie telewizorów ze spalonym transformatorem, o rozlatujących się butach, o dymiących pralkach. Na końcu *Czarnej listy*... redakcja zamieściła złowieszcze zapewnienie, że z całą pewnością nie jest ona jeszcze zamknięta: „Czarna lista – wprawdzie niekrótka, ale za to bardzo urozmaicona. Ciekawe, kto będzie kandydował do następnej?”<sup>159</sup>. Czarnowidztwo pracowników tygodnika sprawdziło się. Do redakcji nadal napływały setki listów o bublach, a *Czarna lista*... pojawiała się na łamach „Przyjaciółki” jeszcze nie raz.

Obraz peerelowskiej rzeczywistości wyłaniający się z listów czytelników ma zdecydowanie czarny koloryt. Permanentne braki żywności, niewystarczająca liczba mieszkań, fatalny stan służby zdrowia, ciężka praca w warunkach często zagrażających zdrowiu i życiu Polaków oraz niepełnowartościowe towary składały się tylko na jeden wycinek ówczesnej skomplikowanej codzienności. Trosk w PRL było znacznie więcej i nieporozumieniem byłoby uogólnianie pewnych zjawisk. Głównym założeniem, które przyświecało powstaniu tego artykułu, było przybliżenie codziennych realiów życia przeciętnych Polaków. Wnioski, które narzucają się pierwsze, są takie, że ówczesnym obywatelom PRL nie żyło się lekko. Pomijając już sam nastrój i wydarzenia polityczne, ogólna sytuacja w kraju była zła. Należy jednak pamiętać również o tym, że mimo beznadziejności niektórych sytuacji i narastających problemów, z którymi Polacy musieli borykać się codziennie, w PRL dało się żyć. Dla nas, żyjących dzisiaj, czasy Polski Ludowej mają nawet pewien urok. Z uśmiechem wspomina się dziś polskie marki samochodów, w których – mimo niewielkich gabarytów – upychano masę rozmaitych rzeczy, polskie pralki typu „Frania” czy bistorowe spodnie. Warto podkreślić, że w tamtym okresie, mimo znacznych niedogodności, ludzie przecie żyli: kochali się, pracowali, chodzili do kina i na zabawy, potrafili się śmiać, bywali również szczęśliwi. Dla wielu były to czasy młodości, w związku z czym dziś często widzą oni tamten okres w jasnych barwach. Ta sympatia dla PRL może wynikać również z tego, że po upływie pewnego czasu, po zmianach ustrojowych, Polacy nabrali dystansu do tamtych czasów. Rzeczywiście, okres PRL był to dziwny i niezwykle złożony czas: było „i śmieszno, i straszno”. Ponadto nasi rodacy udowodnili właśnie w tamtych czasach, że „Polak potrafi”. Mimo szarości dnia codziennego, bywały w PRL także prawdziwe kolorowe dni, a dziedzictwo tamtych czasów spoczywa na nas do dzisiaj. Odczuwamy to zwłaszcza wtedy, gdy spotykamy się

<sup>159</sup> *Czarna lista brakorobów*, „Przyjaciółka” 1961, nr 43, s. 7.

np. ze szwankującą służbą zdrowia. Zapewne za jakiś czas zachowania czy przyzwyczajenia z peerelowskiego okresu zatrą się całkowicie, a nasi potomkowie dawne, odległe czasy PRL będą mogli oglądać jedynie na filmach Barei, czytać o nich w książkach lub w gazetach typu „Przyjaciółka”.

**Konrad Słowiński** (ur. 1983) – historyk, doktorant na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Zajmuje się dziejami najnowszymi Polski; autor książki: *Jawnie i w podziemiu. Wspomnienia ludzi „Solidarności” regionu radomskiego (1980–1989)*.

### *Selected problems of everyday life of Poles on the basis of letters published in “Przyjaciółka” in the years 1956–1970*

*The article presents selected problems of everyday life of Poles in the years 1956–1970 of the Gomułka era on the basis of letters sent to the weekly magazine „Przyjaciółka”. The main idea lying behind the article was the desire to present the everyday life of average Poles. The obvious conclusions are that citizens of the People’s Republic of Poland at that time did not have an easy life. The reality of everyday life presented in the letters sent to „Przyjaciółka” was fundamentally different from the official propaganda version presented by the Gomułka team. When Gomułka was elected the First Secretary of the Communist Party in 1956, Poles were hoping for changes in the country. However, everyday life of average citizens remained the same. The reality under Communism was still sad and gray. This was reflected in the letters sent to „Przyjaciółka”, where people constantly complained about the lack of flats or terrible living conditions, the ailing health-care, empty shops and defective goods. Generally, in the eyes of average citizens, inhabitants, patients and consumers of that time, the Gomułka era was not much different from the times of Bolesław Bierut. Everyday life in Communist Poland of the Gomułka era, in the time of the small stabilization, was still full of anxiety and torment. However, we need to remember that despite the hopelessness of certain situations and the growing number of problems which Poles had to face every day, it was still possible “to get through” in Communist Poland. For us, the times of Communist Poland may even present a certain amount of charm. When looking back at the past from our perspective, many people smile remembering Polish cars, in which, despite their small capacity, people managed to cram tons of different objects, „Frania” – the Polish washing machine or crimplene trousers. And the letters sent to „Przyjaciółka” are just a small, sometimes humorous or even incredible, part of the difficult reality of that time.*